



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron

Warszawa, 10 września 1950 r.

Nr 24 Rok I

PAWEŁ HOFFMAN

POKÓJ ZWYCIĘŻY WOJNĘ

Spytano kiedyś Napoleona, którego z nieprzyjacielskich dowódców uważa za najniebezpieczniejszego. Cesarz wymienił nazwisko jakiegoś generała.

— Ależ Sire! Przecież ten jest najgłupszy ze wszystkich! — zawołali zdumieni marszałkowie.

— Właśnie dlatego jest najniebezpieczniejszy. Nigdy nie mogą przewidzieć, jaki pomysł strategiczny wyłęgnie się w jego głupim łbie.

Napoleon żartował. A jeżeli nie żartował, to sama historia zadała mu kłam. Jak wiadomo, zwyciężył właśnie głupców, a pobity został przez mądrego Kutuzowa.

Jakkolwiek tam było z Napoleonem, my — obóz antyimperialistyczny — jesteśmy w zgoła innej sytuacji. Z ścisłością zbliżoną do matematycznej możemy na ogół przewidzieć każde obłąkane posunięcie desperatów kierujących dziś polityką i strategią świata imperialistycznego. Wiemy, do czego są zdolni ludzie chorzy na forrestatitis. Wiemy, na co ich stać — bo rozumiemy, że choroba, na którą skończył James Forrestal, w minimalnym tylko stopniu wchodzi w zakres psychiatrii i nie podlega indywidualnemu leczeniu. Gdyby tak było, mogłaby nas nie interesować. Jeżeli nas interesuje, to dlatego, że jest choroba, która w mniejszym lub większym stopniu poraża i zwoje mózgową całość kategorii ludzi, tych, którzy w imieniu gnającej burżuazji sprawują dziś władzę w Stanach Zjednoczonych i w krajach zhołdowanych przez imperializm amerykański. Obłąk, który ich ogarnął, nie jest — powtarzamy — zjawiskiem psychiatrycznym. To tylko spotęgowane do maksimum nasilenie zbrodniczej woli podpalenia świata i pogrzebania go w gruzach — w interesie dolarowej plutokracji.

Tak, podżegacze wojenni, rzecznicy „trzęsiej wojny”, agresorzy, mordery koreańskich kobiet i dzieci, organizatorzy prowokacji lotniczej nad rzeką Jalu, eksporterzy stonki ziemniaczanej, zrzucający z amerykańskich samolotów na pola Saksonii, amerykańscy politycy i generałowie wygrażający narodom bombą atomową, amerykańscy „uczeni” hodujący bakterie dżumy jako środek wojenny w walce o podbój świata, zachodnio-europejscy „socjaliści” wykonujący rozkazy krwiożerczych bankierów nowojorskich, polscy zdrajcy emigracyjni spisujący przeciw własnej ojczyźnie w jednej, opłacanej przez Waszyngton kompanii z hitlerowskimi generałami i bandytami z UPA — są zbrodniarzami i problem jest polityczny, a nie psychiatryczny czy psychologiczny.

Nie zdziwienie i nie ubolewanie nad zwyrodnieniem moralnym środowisk rządzących w świecie imperializmu wyznacza naszą postawę polityczną wobec tych, których kusi kariera podsądnych z Norymbergi. Dlatego nie dziwnym jest, że w Waszyngtonie, Paryżu i Londynie bezpośrednio stanęła już na porządku dziennym remilitaryzacja Niemiec Zachodnich i utworzenie, pod taką czy inną nazwą, neohitlerowskiego Wehrmachtu. Wiemy, komu to jest potrzebne, po co się to robi i kto to robi.

Nie wprawia nas w zdumienie fakt, że na widownię „polityczną” w strefie amerykańskiej wypłynęli znowu osobnicy w rodzaju Bandery i Bulby, którzy publicznie zgłaszają oferty i akcesy do zalecania przez Churchilla „armii europejskiej”. Nie są przecież gorsi od Adenauera i Fringsa, a służą tej samej sprawie i temu samemu chlebobawcy. Ze w tym towarzystwie, pod jedną amerykańską komendą widzimy również ludzi mówiących i piszących po polsku — to wynika z samej logiki rzeczy. Ciołkosz pod ramię z Bandera, Zaremba z Guderianem, Mikołajczyk z Bulbą, Bielecki z Schumacherem — można by tu niejedno powiedzieć o ludziach, którzy się stoczyli, o renegatach, którzy jawnie skumali się z mordercami tysięcy Polaków i stali się szpiegowsko-prowokatorską agenturą śmiertelnych wrogów własnego narodu. Ale psychologizowanie do niczego tu nie prowadzi — i do niczego nie prowadzi stosowanie jakichkolwiek kryteriów moralnych. Zjawisko ma charakter polityczny i tylko tak należy je rozpatrywać.

Napoleon (ten z przytoczonej w wstępie anegdoty) uważał za niebezpiecznego dla siebie tego przeciwnika, którego planów — ze względu na jego głupotę —

nie umiał przejrzeć. My — niebezpieczeństwo dla ludzkości, dla naszego narodu i dla wszystkich narodów po obu stronach „żelaznej kurtyny” widzimy w zbrodniczym obłądzeniu środowisk, których ludobójcze pobudki i zamiary dokładnie znamy, bo znamy klasowe sprężyny całego mechanizmu politycznego uruchamianego dziś przez Departament Stanu, znamy działania wszystkich jego kółek i kółeczek, do Tita, Bandery i Andersa włącznie.

Słowa, które w styczniu br. ukazały się w jednym z czołowych organów podżegaczy wojennych, „New York Herald Tribune”, lepiej niż wszelkie argumenty teoretyczne, świadczą, że w omawianym zjawisku nie ma żadnej mistyki, że nie daje ono pola do żadnych docieków psychologicznych. Oto co pisał nowojorski dziennik:

„Jeżeli dyktatura proletariatu w Polsce przyczynią się będzie nadal do poprawy poziomu życia mas, wówczas doświadczenie polskie może wywrzeć doniosły wpływ na Europę Zachodnią, zwłaszcza, jeżeli kryzys gospodarczy lub bezrobocie ogarnie te tereny”.

„Doświadczenie polskie” — to znaczy przecież doświadczenie socjalistycznej przebudowy życia, zapoczątkowane Rewolucją Październikową. A doświadczenie socjalistycznej przebudowy życia — to znaczy gigantyczna elektrownia wodna nad Wołgą koło Kujbyszewa, o mocy 2 milionów kilowatów. To znaczy „mniejsza” od niej elektrownia wodna nad Wołgą koło Stalingradu, o mocy miliona 700 tysięcy kilowatów. To znaczy dokonywana przez człowieka rewolucja w przyrodzie, która w ZSRR zmienia klimat stepowy a pustynię zamienia w pola orne i łąki. To znaczy nasz plan szesnastoletni, którego wykonanie równa się na przykład wyprzedzeniu pod względem przemysłowym dwóch wielkich krajów europejskich, Francji i Włoch, dawionych dziś i degradowanych przez imperializm amerykański. To znaczy dla nas — produkcja 25 tysięcy samochodów ciężarowych, 12 tysięcy samochodów osobowych i 11 tysięcy traktorów w roku 1955.

Dlatego my za pokojem. Dlatego oni — za wojną. Dlatego, bo nasze doświadczenie, doświadczenie ZSRR i krajów demokracji ludowej wywiera — jak słusznie biada nowojorska gadzinówka — „doniosły wpływ” nie tylko na Europę Zachodnią, ale na wszystkie narody rządzone jeszcze przez imperialistów. Dlatego tubylczy wykonawcy rozkazów Trumana, Achesona i Spellmana w krajach opanowanych już czy penetrowanych przez imperializm amerykański albo typowanych na jego ofiary, doszli do zupełnego zaprzęstwa i zdrady narodowej, stali się amerykańskimi kwilingami, podrzędnymi agentami zaborczej polityki USA. Wszyscy oni — Bevin i Li Syn Man, Tito i de Gasperi, Churchill i Bao Dai, Adenauer i Moch — przerażeni doświadczeniem zwycięskiego socjalizmu, przykładem, jaki ludzi ich krajów widzą w świecie wyzwolonym z jarzma kapitału, złożyli hołd najwyższemu politycznemu i moralnemu autorytetowi swojej klasy, Dolarowi:

„Cała historia stosunków między-ludzkich nie zna bodaj wypadku, żeby dobroczyńca wykazywał tyle delikatności wobec tych, którym świadczą dobrodziejstwa”.

Te wiernopoddane słowa padły z ust angielskiego „socjalisty”. Wypowiedział je w przemówieniu radiowym jeden z eksponowanych przywódców Partii Pracy, Harold Nicolson. Kto nie wierzy, niech przeczyta w wydawanym przez BBC czasopiśmie radiowym „London Calling”, gdzie całe to przemówienie było wydrukowane w numerze z 13.VII.

W tych słowach bezgranicznego oddania i służalczej pokory wobec panów z Nowego Jorku, których „delikatność” strzecha się jak wiadomo w dewizie „ja płacę, ja wymagam” — zabrzmiało wyznanie wiary nie tylko brytyjskiej Partii Pracy. To jest wyznanie wiary całej socjaldemokracji, od Bevina i A. T. Lee, poprzez Guy Molleta, Mocha i Spakę, Schumachera i Silonego, do Ciołkosza i Zaremby. Ta modlitewna formuła nadana przez rozgłoszonego radiowo wielkiego imperium — w lapidarnym skrócie ilustruje nieuchronną drogę międzynarodowej socjaldemokracji

od zdrady klasowej do zdrady narodowej, drogę przebytą razem z klasą, której prawicowi „socjaliści” pozostają wierni aż do śmierci. Dlatego w obliczu europejskich podżegaczy wojennych, wśród amerykańskich podżegaczy wojennych, rywalizują z konserwatystami i klerykałami w nienawiści do socjalizmu, w gorliwości antyradzieckiej, w prowokacjach przeciw Polsce, w szczuciu przeciw granicy nad Odrą i Nysą. Na tej antypolskiej platformie emigracyjni działacze PPS spotykają się w COMISCO z Schumacherem, który niedawno oświadczył publicznie, że front „Europ Zachodniej” przebiegać powinien nie nad Odrą i Nysą, tylko nad Wisłą i Niemnem.

Ta sama nienawiść do socjalizmu i tęsknota do bomby atomowej sprawia, że labourystowscy przywódcy związków zawodowych razem z pobożnymi kierownikami katolickiej międzynarodówki „Pax Romana” deklarują amerykańskiemu agresorowi solidarność, pomoc w ich zbrodni przeciw narodowi koreańskiemu, a norweski socjaldemokrata Trygve Lie jako sekretarz generalny ONZ używa wojskom Mac Artura i Li Syn Mana błękitnej flagi tej organizacji i rozsyła do jej członków „przynaglenia” o zbrojną pomoc dla napastnika.

Obłąk wojenny ze strachu przed socjalizmem, w poczuciu własnej słabości, dyktuje imperialistom amerykańskim i ich europejskim agentom politykę, której sensu i kierunku nie próbują już nawet maskować. Patrzymy im na palce i obserwujemy ich posunięcia, bo znamy polityczne tło obłąd. Na nas, na krajach socjalizmu i demokracji ludowej, na ludziach światowego obozu antyimperialistycznego, spoczął obowiązek ocena ludzkości przed katastrofą, do której chcą ją pchnąć podżegacze wojenni. Wiemy, że tylko zorganizowana, świadoma swych zadań, masowa siła setek milionów obrońców pokoju sprosta temu obowiązkowi. Wiemy, że zadanie, któreśmy sobie postawili, jest wykonałe: pokój zwycięży wojnę, bo za pokojem są miliony ludzi we wszystkich krajach, bo sztabar pokoju dźwierz Józef Stalin, a na straży pokoju stoi wielki kraj socjalizmu i sprzymierzone z nim kraje demokracji ludowej od Łaby do Morza Chińskiego — natomiast wojny pragną, wojnę przygotowują bankruci i klienci bankrutów.

Tej wierze w naszą siłę, w osiągalność wielkiego celu, który nam przyswieca, daliśmy wyraz na naszym Kongresie Pokoju.

Paweł Hoffman

JULIAN TUWIM

EX ORIENTE...

Noc gwiazdzista na Bagdad sypie złotym piaskiem — nie o niej śpiewam.
Nad gulanem słowicznym księżyc zakwitł jaskier — nie o nim śpiewam.

Gwizdnie na klejnoty arabskich cudów, na zaloty Zulejki i różane olejki!
— O rozkwitłym, ołsniewającym Ogrodzie Ludów, ja, poeta warszawski — śpiewam.

Poblady Szecherezady. Noc jest tysięczna i druga.
O niej, promieniejącej wszechświatowym blaskiem — śpiewam.

O Homerach, o Wergilich stepowych
I o pieśniach nowych — od Uralu do Alaski — śpiewam.

Ej, nie sami bywali Dantowie, panowie profesorowie!
Dla Szota Rustaweli błagając waszej łaski — śpiewam.

Nie samych Latynów i Greków — skosztować by wam Uzbeków!
Dla Aliszera Nawoi błagając waszej łaski — śpiewam.

Muzo! Pieśń opowiadaj Sulejmana Stalskiego, Lezgina!
Harmonię i piękności mowy osetyńskiej, buriackiej, kazachskiej — śpiewam.

Ej, nie w Atenach — w Ufie, w księgarni tłok jak w piekarni!
O rudach Kirandyku — Kulbaja, poeta Baszkir, śpiewa!

O inżynierach urodzonych w jurtach, o elektrotechnikach Udmurtach,
O chirurgach skośnookich, o radio w aule abchaskim — śpiewam.

O bujnej zieleni soczystej, z pustyni bezpłodnej wytrysłej,
O Czukczach maleńkich, wpatrzonych w elementarne obrazki — śpiewam.

Tunguz w tajdze, Ewenk w tundrze „Wojnę i pokój” czyta...
O „Trzech Budrysach” w szkolnej czytance tatarskiej śpiewam.

O kamczadalskich małcach, co wyrosną na Edisonów,
O sławie i wielkości jutrzejszych Newtonów czuwaskich śpiewam.

Turkmen, wczoraj koczownik, studiuję agrobiologię...
O chemiczce moskiewskiej, Jakutce z nosem płaskim — śpiewam.

O, nowi przyjaciele! Jakże świat się rozszerzył w urodzie!
Syn Łodzi — rozmawiam z wami!! O snach uczniaka — fantasty śpiewam.

— Samed Wurgunie, przyjacielu mój azerbajdżański!
Chwałę twej bohaterki, kolchoźnicy Basti — śpiewam.

— Mirzo Tursun Zade, przyjacielu mój z Tadżykistanu!
O tym, że wiersz swój o Indiach mówiłeś mi w knajpie wrocławskiej — śpiewam.

— Simonie Czikowani, miły piewco gruzińskiej jaskółki!
Przyjaźń naszą, na Wiejskiej winem oblaną kaukaskim — śpiewam.

O was, zbudzonych radośnie, w pochód ludzkości włączonych,
O was, bracia, świecący nowej epoki brzaskiem — śpiewam.

Synowie Rewolucji! O sercach Dwóch Wodzów najmędrzych.
Co was wywiedli na słońce z ciemoty, krzywdy i jaskiń — śpiewam.

Wznoszę tę pieśń, jak puchar: za Naród Stu Narodów!
O tobie, wschodzie słońca, o tobie, słońce Wschodu — śpiewam.

19. VIII. 1950.

Z UCHWAŁY PIERWSZEGO POLSKIEGO KONGRESU POKOJU

Głos Polski Ludowej, rozlegający się mocno i zdecydowanie w obronie wszystkich, którym imperializm usiłuje narzucić ujarzmienie i wojnę, więź solidarności, jaka nas łączy coraz ściślej ze wszystkimi walczącymi o pokój ludami świata, trwałe sojusze i bratnia współpraca ze wszystkimi narodami wyzwolonymi z jarzma imperializmu, a nade wszystko przyjaźń, pomoc i wspólna praca wielkiego Związku Radzieckiego — ostoi światowego pokoju — wszystko to czyni z Polski ważki czynnik światowego frontu pokoju.

Nasze wielkie zdobycze i wspaniałe perspektywy Planu 6-letniego, którego urzeczywistnienie wysunie Polskę do rzędu krajów przodujących, pomnożą wielokrotnie naszą siłę, a przez to wzmocnią siły całego obozu pokoju.

Wobec ogromnego wzrostu sił obozu pokoju na całym świecie, imperialiści uciekają się do coraz bardziej szaleńczych awantur, usiłując to w tym, to w innym punkcie ziemi rozpalic zarzewie nowej wojny. Bohaterski naród koreański zmaga się zwycięsko ze zbrojnym najazdem amerykańskiego imperializmu, piędź za piędźą wyzwalając swój kraj od najeźdźców. Raz jeszcze przekonali się imperialiści, że ani udoskonalone narzędzia śmierci, ani najemne żołdactwo nie zdoła pokonać ludu walczącego o prawo do życia.

Ale mszcząc się za doznane klęski, najeźdźcy imperialistyczni nie cofają się przed naśladowaniem bestialskich wzorów hitlerowskiej wojny totalnej. Bombardują miasta i wsie koreańskie, dziesiątkują bezbronną ludność, masakrują kobiety i dzieci, obracają w perzynę całe osiedla, rujnują szpitale, szkoły, teatry, pomniki wielowiekowej, wysokiej kultury. Depczą brutalnie prawa i układy międzynarodowe, osłaniając cynicznie swe zbrodnie flagą Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Dzisiejsi pretendenci do opanowania świata upodobniają się całkowicie do ich faszystowskich poprzedników. Nic dziwnego, że imperialiści amerykańscy szukają oparcia dla swych zbrodniczych zamiarów, przede wszystkim wśród niedobitków faszystów. Dla tego tak gorączkowo zabiegają wokół odbudowy dawnej hitlerowskiej armii niemieckiej. Dlatego wypuszczają z więzień największych zbrodniarzy wojennych, skazanych przez Trybunał Norymberski. Dlatego na hitlerowskich generałach oprócz zamierzają werbunek landsknechtów przeciw obozowi pokoju. Okupacja chińskiej wyspy Tajwan (Formoza) — zbrodnicze bombardowania chińskich osiedli — to nowe prowokacyjne próby rozpalenia pożogi wojny.

W obliczu tych wydarzeń Pierwszy Polski Kongres Pokoju, w imieniu całego Narodu Polskiego, pragnącego w pokoju budować podwaliny lepszego życia, przylacza swój głos do głosu mas ludowych całego świata:

Domagamy się zakazu broni atomowej, zniszczenia zapasów wszelkiej broni ludobójczej i wszelkich środków masowej zagłady;

domagamy się powszechnego ograniczenia zbrojeń i ich skutecznej kontroli;
domagamy się zakazu i likwidacji wszelkiej agresji i interwencji zbrojnej w stosunkach między narodami i domagamy się w szczególności zaprzestania agresji amerykańskiej w Korei, wycofania wszelkich wojsk interwencyjnych z obcych ziem;

domagamy się położenia kresu bestialskiemu bombardowaniu osiedli ludzkich i ludności cywilnej, i niszczeniu dorobku kulturalnego pokojowych ludów;

domagamy się zaprzestania remilitaryzacji Niemiec zachodnich przez okupantów amerykańskich;
domagamy się skutecznego okiełznania hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, sprawiedliwego ich ukarania z całą surowością prawa i pełnej realizacji uchwał poczdamskich.

Przemówienia Kongresowe

JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA
JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO
ALEKSANDRA ZELWEROWICZA
na stronie 2

PRZEMAWIALI NA KONGRESIE:

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Też biorę udział w potężnych manifestacjach pokojowych czy to w kraju czy za granicą, napęnia mnie uczucie niezwykłej radości, które zapewne i wy, tutaj zebrani, odczuwacie, radości i dumy, że jednoczą nas wszystkich, bez różnicy przekonań, wielkie, wspaniałe uczucie pragnienia i umiłowania pokoju, wielkie uczucie chęci bronienia tego pokoju do ostatniej kropli krwi.

Miałem może więcej okazji niż kto inny do zobaczenia, że te nasze uczucia nie są czymś odosobnionym, że wybuchają potężnie zarówno pod pięknym niebem Ameryki Południowej czy Włoch, pod niebem Francji czy naszej Polski, jednocząc z sobą ludzi obcych na pozór, a połączonych przecież trwałą więzią wspólnego pokojowego ideału.



Gabriel d'Arboussier

Takie uroczystości jak dzisiejsza, mimo swojej głębokiej powagi są dla mnie zawsze wielkim świętem radości, napęniają mnie bowiem pewnością, że miliony ludzi dobrej woli zwyciężą i że zwycięstwem tym będzie pokój.

Myśl nasza w tej chwili biegnie ku wszystkim, którzy o ten pokój walczą — a przede wszystkim ku Wielkiemu Wodzowi armii pokoju. Ku wszystkim, którzy pracą swoją — jak budowniczymi Warszawy — pokój ten ustalają, ku wszystkim, jak wielcy poeci i pisarze, którzy słowem pokój chwala i o pokój walczą. Myśl nasza jak stada gołębi pokoju lecia ku nim, rozproszonym po wszystkich częściach świata: a także i do tych, którzy na Korei, w Vietnamie, na Malajach — za pokój przyszłych pokoleń placą daniny krwi.

I w to podniosłe święto, pomiędzy te uroczyste słowa, pomiędzy hasła prawdziwego humanizmu, hasła ludzkości dążącej do szczęścia trudno mi jest jakoś mieszać nazwiska i tytuły tych ludzi, których czarna krecia robota zmierza do wzniesienia straszliwego pożaru i rozparcia nowych ruin na miejscach, gdzie niestrudżonym wysiłkiem stare ruiny się zaciera.

Lecz sądzę, że byłoby to pewnego rodzaju tchórzostwem czy też może lekkomyślnością, jeżeli myśl upojona wielkością naszego ruchu obrońców pokoju, o którym z dumą możemy powiedzieć, że się w Polsce rozpoczęła, będzie zwracała się tylko do świątynich obrazów radości — nie widząc czarnych cieniów tych, którzy o wojnę marzą i którzy wojnę przygotowują.



Ppik Kan Buk

Zapewne, że w dżungli światowych podlegaczy, wśród kapitalistów i producentów broni, wśród przygotowujących gigantyczne zbrojenia i myślących o miliardowych zarobkach, garstka obłąkanych — naszych ongi rodaków — nie wielkie ma znaczenie. Ich głos ginie w ogłuszającym hałasie szczucia na obóz pokoju i demokracji. Ale jest to głos mówiący naszym językiem, głos bluznierzo cytujący naszych najgenialniejszych poetów — i dlatego dla nas, pisarzy, nie mogący zostać obojętnym. My powinniśmy być specjalnie czuli w sprawie właśnie sumienia. I zapytujemy siebie, co się dzieje w sumieniach tych, których znamyś nigdyś tutaj i z którymi nas ongi łączyły stosunki przyjaźni i zażyłości?

Jeżeli zajrzemy do polskiej prasy emigracyjnej, jeżeli choć przez chwilę zatrzymamy spojrzenie na szpaltach tamtych pism — chwytamy nas z początku „śmiech pusty“, a potem „litość i trwoga“, wreszcie oburzenie, na którego wyrażenie nie znajdujemy po prostu słów. Zartobliwy ton dawnego felietonisty „Kurierka Krakowskiego“, autora artykułu pt. „Savoir vivre“ na wypadek wojny atomowej, który wycekiwany przez siebie katalizm z uśmiechem nazywa „światówka nr 3“; ton publicysty, który ongi „rozumiał“ morderstwo Prezydenta Narutowicza, a dzisiaj zaciera ręce wesoło wszystkie przyszłe morderstwa i ludobójstwa; odpowiedzialny, zdawałoby się człowiek, który powiada, że „nie miałbyś nie przeciwko temu, by Amerykanie zrzucili któregoś dnia kilka bomb atomowych“ — te okazy z tego panoptikum potworności nie mają już żadnych cech ludzkich.

Ogluszająca nagonka wojenna anglo-amerykańców jeszcze jest dla nich niewystarczająca, jeszcze spotykamy żale, na „dziwną i niezrozumiałą politykę, jaką sto-

suje Amerykański Departament Stanu“. Ręce opadają, gdy się przeczyta te wszystkie elukubracje zamieszczane na łamach rozmaitych organów emigracyjnych, w głowie się nie mieści, co myślą ci ludzie kreśląc te wyrazy.

„Myśl Polska“ (o hańbo, co za tytuł!) pisze:

„Faktem jest, że każdy miesiąc pokoju w tych warunkach pogarsza niepomniernie sytuację. Kto wie czy każdy dzień zimnego pokoju nie okaże się w rezultacie kosztowniejszy od dnia najkosztowniejszej wojny“.

W tygodniku „Wiadomości“ z d. 19 lutego b.r. znajdujemy te słowa:

„Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wytwarzania bomby wodorowej musi wzbudzić radość, natomiast towarzyszące temu oświadczenia różnych wybitnych polityków amerykańskich radość tę wybitnie pomniejszają. Nie dość bowiem jest wytworzyć bombę atomową, trzeba jej jeszcze użyć...“

A „Dziennik Polski“ i „Dziennik Żołnierza“ zamieszcza taką maksymę:

„Niewątpliwie bomba atomowa mogła okazać się jednym z najważniejszych wydarzeń w historii nowoczesnej pod warunkiem wszakże, by Stany Zjednoczone w porę zdobyły się na decyzję posłużenia się nią dla zapewnienia światu trwałego pokoju“.

A mówiąc o tym, że Anglia przyznała jednemu z czołowych pisarzy świata, Erenburgowi — po wielu zapewne trudnościach — prawo wjazdu do Zjednoczonego Królestwa, inny z tych pisarków twierdzi, że „liberalizm, słodczy charakter czy zwyczajna nieznanomość rzeczy Anglików — to właściwość... wręcz oszalamająca...“

Jeszcze im mało krwi przelanej przez Polaków: chętnie by usłyszeli spadające bomby atomowe, ukryci w schronach radiowych Madrytu, Londynu i Nowego Jorku!

JERZY ANDRZEJEWSKI

Wydaje mi się, że najpiękniejszą dziedziną twórczej działalności człowieka są te niezmiennie wyrastające z dziejów ludzkie myśli i pragnienia, które wbrew gwałtom i zniszczeniom służą chęć usuwaniu krzywd, cierpień i niesprawiedliwości. Krócej mówiąc — towarzysze w walce o pokój! — najpiękniejszą spośród rozlicznych wartości świata wydaje się praca ludzkich umysłów i rąk, gdy służy wzrastaniu i umacnianiu ludzkiego szczęścia. Słusznie możecie spytać: jakiego szczęścia? Wiemy przecież, że zarówno wczoraj, jak dzisiaj, ludzie w różnych osiągnięciach dostrzegali się szczęścia, różnymi drogami ku temu celowi zdążyli i to, co się jednym wydaje spełnieniem pragnień, dla drugich jest pogłębieniem niedoli i cierpień, a nawet hańbą.

Jeżeli więc mówię o szczęściu, to mając na myśli jedynie te ludzkie dążenia, które wyrastają w walce z ciemnotą, przesadami i wyżyskiem człowieka przez człowieka, czerpią natchnienie i rozpęd z nowych wartości, z nowych sił ideowych, zdolnych starym i rozpadałym się formom życia przeciwstawić formy nowe i twórcze.

I gdy w tym sensie mówimy o piękności ludzkiego dążenia do szczęścia, to myślę, że w naszych czasach owo piękno ożywia przede wszystkim swym głębokim nurtem to ogromną międzynarodową siłę, którą ludzkość, zagrożona w swej wolności i życiu przez furję ginącego świata, wkłada w walkę o pokój. Nie będzie więc — sądzę — przesadą, jeśli powiem, że gdy do tej wielkiej idei zbiegają się wszystkie najdonioślejsze zagadnienia świata i gdy w tym sercu pulsuje najgorętsza młodzież świata, to piękno zawarte w umiłowaniu pokoju uszlachetnia również nas wszystkich o pokój walczących, ponieważ o piękności myśli człowieka i pięknie ludzkiego działania decyduje cel, który mu przyswieca, kiedy za naszą pracę podporządkowujemy wielkim celom, wtedy i sama praca nabiera znamion wielkości.

Ludowe podania starożytnej Grecji przekazały nam z odległych wieków rozliczne mity, a wśród nich jeden, opowiadający, jak młody ateńczyk, Tezeusz pokonał na wyspie Krecie potwora, zwanego Minotaurem. Potwór ów o postaci człowieka i z głową byka przebywał w wielkim budynku składającym się z tysięcy komnat, zwanym Labiryntem. Król Kreta Minos dostarczał Minotaurowi jako żeru ludzi przysyłanych na ten cel przez podbite narody. Ponieważ Ateny także musiały płacić podobny haracz, Tezeusz postanowił uwolnić ojczyznę i Minotaura zabić. Uczynił to, lecz byłoby się zagubił w ogromnym Labiryncie, gdyby córka Minosa, Ariadna, nie dała mu kłębka nici. Dzięki temu kłębkowi, znacząc nim przebytą drogę, Tezeusz mógł się wydostać na wolność z zawiłej budowli.

My nie żyjemy w legendzie i naszą nie Ariadną, pozwalającą nam rozpoznawać drogę, po której zdążamy walczyć o pokój i szczęście, musimy sami mocno tknąć własnym solidarnym doświadczeniem i wysiłkiem. Czynnym jest ta nasza nie, niegdys w dawnej Grecji tak pomocna w pokonaniu krwiożerczego potwora? Dla nas, niosących piękno idei światowego i trwałego pokoju, jest to przede wszystkim umiejętność trafnego rozpoznawania i nazywania po imieniu wszelkich niebezpieczeństw, które zagrażają nam na naszej drodze i które, jak zdradzieckie sidła i doły, wróg rozstawia przed nami i dokoła nas. Jeżeli legendarny potwór zmienił swe imię i dzisiaj nazywa się imperializmem i posiada sto głów bankierskich i tyleż samo głów fabrykantów broni, jeżeli starodawny labirynt stał się



Wanda Wasilewska

Ci ludzie, którzy jak na krze oderwanej odpłynęli z ojczyzny w roku 1939 — którzy nie z nami nie przeżyli i nie z tego czym żyjemy nie rozumieli i nie rozumieją — stali się nie tylko obcy Polsce i jej troskom, ale przez swoje oderwanie stali się obcy wszystkim uczuciom ludzkim. Ci ludzie, „intelektualiści“, „pięknoduchy“, „europejczyści“, ośmielają się wzywać do rzucania bomb atomowych.

Nasze życie nie jest łatwe, przeciwnie, jest bardzo trudne i bardzo żmudne, ale jest mocne i z każdym dniem staje się piękniejsze. Kto widział nasze miasta, zastępy naszej młodzieży, nasze wysiłki — ten to rozumie. Chcemy żyć, i pracować, i tworzyć, tak dobrze jak tylko potrafimy. I nie chcemy również, aby świat rządzony jesz-

terenem przygotowań do nowej wojny, terenem tysięcy kłamstw, prowokacji, szantażów i zbrodni popełnianych i zamierzonych, to my drogi prowadzące poprzez ten zdradziecki labirynt musimy nie tylko dobrze poznać, lecz rozświetlić je w taki sposób, aby żadna z komnat współczesnego potwora nie pozostała w zamaskowanym mroku lub w fałszywym półcieniu.

Moi przedmówcy już niejedną z sal imperialistycznego labiryntu wydobyli z ciemności. W stosunku do sal innych uczynią z pewnością to samo moi następcy. Pozwólcie, że ja przeprowadzę was przez jedną z komnat, być może że wszystkich sal waszynońskiego labiryntu przystojoną w największą ilość wzniosłych uczuć i pojęć, uswieconą wiekami tradycją i otoczoną szacunkiem wielu ludzi różnych narodów, niemniej jednak służącą, niestety, tym samym celom wojennym, co i inne pomieszczenia tej ponurej budowli kryjącej w swych ścianach całą obłudę i brzydotę świata opartej o potęgę dolara. Sala, o której myślę, nazywa się: Watykan.

Drodzy moi przyjaciele!

Jesteśmy w tej chwili reprezentantami 18 milionów Polek i Polaków, którzy kładąc swoje imiona i nazwiska pod Apelem Sztokholmskim stwierdzili tym samym, że nie chcą wojny, natomiast chcą pokoju. Znaleźliśmy się tu razem, robotnik przy uczonym, chłop przy artyście, ksiądz przy działaczu partyjnym. Nie jesteśmy do siebie podobni, jak buty seryjnie wyprodukowane. Jesteśmy ludźmi. Jesteśmy żywymi ludźmi. Jedni z nas są marksistami, drudzy katolikami. Lecz jakkolwiek dzielą nas różnice — wszyscy jesteśmy przekonani, że człowiek jest najcenniejszą wartością życia i człowieka trzeba uszlachetniać — nie poniżać, i człowiek powinien odychać wolnością — a nie poddany zostać niewoli i przemocy. Dlatego łączy nas idea pokoju i jej piękno porusza zarówno komunistów, jak katolików, ponieważ pokój jest zapewne jednostką i narodom możnością budowania i dnia dzisiejszego, i jutra, które są i będą lepsze od dni minionych. Kochamy twórcze życie, moi przyjaciele, oto wszystko! Cieszą nas nowe domy i ulice Warszawy; radują młode lasy Związku Radzieckiego, kraju, w którym człowiek przenikliwość myśli i sprawność dłoni poświęca całemu podnoszeniu dobrobytu i kultury; porusza nas młodzież niemiecka z FDJ, nieśca słowa przyjaźni stamtąd, gdzie jeszcze niedawno bluzgła nienawiść; przejmuję nas, jakby to o nas samych chodziło, bohaterka walka ludów Korei i Vietnamu; głęboko wzrusza ów stary kolejarz francuski, który zapytany przez policję, dlaczego zatrzymał pociąg z amunicją amerykańską, gdy ujrzał leżącą na szynach młodą dziewczynę, odpowiedział: Nie można zabić wolnej Francji; podnosi nas na duchu i radością ożywia każde osiągnięcie choćby nawet najdrobniejsze, lecz służące wzrastaniu młodziutkich pedów nowego życia. Jeśli jednak nas, zebranych na tej sali, łączy, podobnie jak cały nasz naród, umiłowanie twórczego życia, umiłowanie pokoju, który temu życiu pozwala rosnąć i potęgnić — to musi nas również łączyć potrzeba mówienia prawdy, aby wróg naszych ideałów i naszych pragnień, gdziekolwiek jest i w jakiegokolwiek formie działa, został ujawniony i osadzony.

Gdy zatem w labiryncie imperialistycznym oświetlimy salę watykańską, jakież na jej ścianach napisy historii odczytamy? Oto kilka z nich z niedalekiej przeszłości:

Kiedy w wieku XIX liczne narody, a wśród nich i naród polski, podnosiły sztandary wolności przeciw tyranii królów i cesarzy, po czyjej stronie stał niezmienne Watykan? Zawsze stał po stronie Habsburgów, Hohenzolernów

cze przez naszych przeciwników ginął od bomby atomowej. Nie, wiemy dobrze, że po tamtej stronie mamy tysiączne rzesze przyjaciół, równie jak my kochających pokój i pracę, którzy równie potrafili o ten pokój i o tę pracę walczyć. I wierzymy, że oni zwyciężą. Psy niech szekają — karawana pojedzie dalej. I co najważniejsze, karawana nie zawróci, nie może zawrócić. To jeszcze tym zatumanionym ludziom z pism emigracyjnych zdaje się, że mogą wrócić czasy szwależerskich bałwów i polowań w Białowieżę. Im wciąż się jeszcze zdaje, że ich problemy i zadania są naszymi troskami. Nie rozumiemy, że odeszliśmy od nich na przepaść wojny i okupacji, na odstęp planu trylitynny i odchodzimy na odstęp planu sześciolatniego.

I o cóż im chodzi w tej „walce ideologicznej“? Dlaczego wzywają, podniecają — i tak już podnieconych Anglosasów? Wszystko dla jakiejś mętnej idei powrotu, tak jak gdyby historia mogła się powtórzyć. Historia nie tylko nie powraca, ale jej pochod naprzód to wieczny dynamizm tworzenia nowych form i nowych wartości — kto w tym tworzeniu nie bierze udziału, ten opada jak zwiędły liść. Takim pomylonym, zwiędłym, zgnilym liściem jest nasza emigracja i jej pismacy. W haniebny mrok swego pomylenia nie odróżniają już prawdziwych wartości. W zacietrzewieniu swojej nienawiści zatracili poczucie moralne, nie odróżniają już dobra i zła. Oni widzą tylko wojnę — my pokój. U nich się modlą o wojnę — u nas o pokój, ich ogarnie niepiamięć, a o nas będą długie lata pamiętali potomni jako o tych, którzy nie tylko wołali o pokój, ale śmiałą ręką po pokój sięgnęli.

I niech sobie marzą o „nowej“ czarnej, reakcyjnej ojczyźnie — my tutaj w trudzie naszym i walce, w ciężkim mozołce nową ojczyznę tworzymy. I aby ją móc tworzyć, budujemy, utwierdzamy i wznosimy budynek, który na swoim froncie nosi napis PAX — pokój!

Jarosław Iwaszkiewicz

ALEKSANDER ZELWEROWICZ

Zywe słowo nabrałoby poważną treścią myślową i uczuciową, wypowiedziane z sugestyjną siłą przez ludzi uczciwych, szczerze i głęboko wierzących w ideologiczną prawdę tego co mówią — jest niezawodnie najlepszą formą propagandy.

Ale to samo słowo, stanowiące tekst literacki widowiska scenicznego, obrazu filmowego czy audycji radiowej, urasta do potęgi huraganowej siły paraliżującej wszystkie zakusy chytrego przeciwnika i jak karcienne domki za jednym dmuchnięciem obalające, najprzemysłniejsze jego argumenty. Poparte zbiorowością oddziaływania i wspomaganie pomocniczymi czynnikami, jak: dźwięk (muzyka), barwa i linia (dekoracja), staje się najdoskonalszą, najpotężniejszą propagandą.

W Polsce ludowo-demokratycznej wszystkie gałęzie życia, a więc i sztuka we wszystkich swoich przejawach, zostały wprzęgnięte, jak potężne traktory, do zharmonizowanej, twórczej pracy, której celem jest przygotowanie gleby na posiew socjalizmu, najdoskonalszego i najsłabszego ustroju społecznego.

I oto w tym marszu do socjalizmu na horyzontie wyrasta olbrzymia gradowa chmura, wzbiera i grozi pęknięciem złowroga tama grożąca ludzkości drogę nie tylko do wolności i osobistej szczęścia, ale do egzystencji w ogóle.

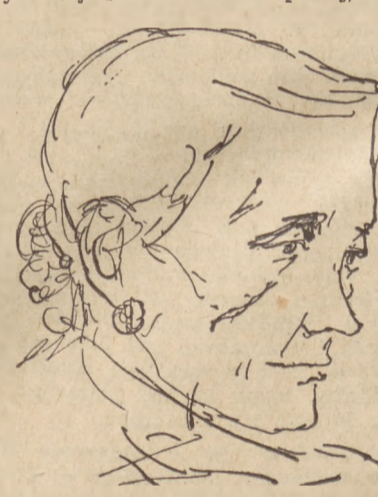
Dzisiaj ludzkość podzieliła się na dwa wrogi, nierównie tak pod względem liczebnym, jak i moralnym obozy. Jeden, ogarniający przytłaczającą większość ludzi świata, bez względu na barwę skóry i przynależność pań-



Aleksander Kornijczuk

stwową, dąży do szlachetnego szczęścia całej ludzkości: do postępu, podniesienia stopy życiowej, oświaty, kultury, do wyrównania krzywd, do sprawiedliwości społecznej. Drugi, stanowiący garstkę zwyrodniałych samolubów uzbrojonych w pieniądze i armaty, pragnie z cyniczną perfidią w imię własnych najprziemniejszych interesów pognać ludzkość, czyniąc z niej stado niewolników zdanych na łaskę i niełaskę swoich właścicieli.

Polska kroczy śmiało i konsekwentnie w szeregu państw miłujących pokój, przy czym zdaje sobie dokładnie sprawę, że trwa-



Stanisława Pisarek, chłopka z woj. warszawskiego

ły pokój można wywalczyć tylko zbiorowym, solidarnym wysiłkiem wszystkich bez wyjątku jej synów.

Do szeregów armii walczącej o pokój powołano i sztukę. My, jej słudzy i robotnicy, jesteśmy dumni, że wolno nam chwycić za naszą artystyczną broń, nie mniej celną niż armaty i bagnety, aby chlubnie spełnić obowiązek odważnego i ofiarnego szeregowca.

W podniosłym momencie obrad Pierwszego Polskiego Kongresu Obrońców Pokoju składam w imieniu wszystkich bez wyjątku pracowników teatru, filmu i radia, tych trzech tak bliskich sobie gałęzi sztuki, służących mimo istotnych czy pozornych różnic jednemu wielkiemu celowi: kulturze narodowej, następującej uroczyste oświadczenie:

Przyrzekamy stać w szeregach najaktywniejszych bojowników sprawy pokoju, ofiarować w miarę możliwości cały nasz entuzjazm, umiejętność i pracę dla obrony pokoju zarówno w doborze repertuaru jak i w troskliwej staranności o wykonanie, idąc po linii socjalistycznego realizmu i spełniając w ten sposób na równi z całym światem pracę zaszczytny obowiązek obywateli i patriotów.

Możecie nam zaufać.

Nie zawiedziemy!

Aleksander Zelwerowicz

Rysunki MARKA RUDNICKIEGO

Jerzy Andrzejewski

TODOR HARMANDŽIJEW

CHRISTO BOTEW

Przełożył WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

CHRISTO BOTEW

HADŽI DYMITR

Bezbratni było życie Christo Botewa, który zginął w wieku 27 lat, aby żyć wiecznie w pamięci swego narodu jako największy jego poeta, bohater, rewolucjonista. Bardzo szybko przeszedł swą drogę do śmierci, ale doprowadził go ona do nieśmiertelności i wiecznej sławy.

Przelatując jak błyskawica w jego życiu: dzieciństwo w małym, górskim miasteczku Kalofier, gdzie urodził się 7 stycznia 1849 roku, gimnazjum w Odessie, udział w nielegalnych kółkach, usunięcie z gimnazjum, powrót do Kalofiera. Stał się Rumuniem, gdzie wypędzona przez turecką tyranię emigracja spierała się o najlepszy sposób, w jaki można obalić tureckie imperium.

W Rumunii Botew rozszerza i utrzymuje do końca życia stosunki z rosyjskimi rewolucjonistami, nawiązuje jeszcze w gimnazjum, w Odessie, a szczególnie w Nezzażew, któremu pomaga w wysyłaniu nielegalnej literatury do Rosji.

Wyróżnia się szybko jako wybitny działacz bułgarskiego ruchu rewolucyjnego, redaguje w Rumunii gazetę, pisze płomienne artykuły i felietony przepojone ogromną nienawiścią do tureckich ciemiężców i ich bułgarskich sług „czorbadzi”. Szybko staje się faktycznym wodzem partii rewolucyjnej, do której należą najbardziej postępowe elementy emigracji bułgarskiej w Rumunii. W 1875 r. wydaje swe wiersze w małej książeczce zatytułowanej „Wiersze i pieśni”. W 1876 r. organizuje oddział powstańczy z 200 ludzi i staje na jego czele jako „wojewoda”. Według z góry ułożonego planu opanowuje austriacki statek „Radecki”, kursujący na Dunaju, i zmusza kapitana i jego załogę do wysadzenia oddziału na bułgarskim brzegu. Stał się oddział, ścigany przez wojska tureckie, w szeregu potyczek przebiega sobie drogę do Bałkanów. Wreszcie u stóp gór oddział zostaje rozbity i Botew pada, tak, jak zginął Hadži Dymitr — bohater jego nieśmiertelnej ballady.

„Ten, który życie oddał za swobodę,
Ten nie umiera...”

Z wszystkich bułgarskich poetów, Botew jest najbardziej narodowy pod względem formy, ale treścią emocjonalną i rozmachem myśli poetyckiej przekracza ramy poezji bułgarskiej. Jego wiersze, pisane w stylu pieśni ludowych, nie są bynajmniej czczym naśladownictwem.

W nieśmiertelnych obrazach, wyrażanych z niepowtarzalną pięknością i siłą, zobrazował Botew wiekowe walki, które naród bułgarski prowadził o swoje wyzwolenie, o swoje prawo do znalezienia się w szeregu narodów przodujących na drodze ludzkiego postępu. Wyśpiewał sprawiedliwy gniew narodu bułgarskiego przeciw wszelkiej przemocy, jego umiłowanie wolności, jego bliskie i dalekie cele. Zapatrzony daleko naprzód, zostawił przyszłym pokoleniom nieśmiertelny testament. Dlatego był i będzie wiecznie współczesny. W czasach faszystowskiej tyranii był wzorem dla

tych, którzy szli do walki o wolność, pomni na jego słowa:

„Nie ma władzy nad tą głową, która gotowa jest oddzielić się od tułowia w imię wolności i dla dobra całej ludzkości!”

Jego poezja i jego osobisty przykład natchnęła bojowników antyfaszystowskich ofiarnością dla sprawy i pogardą dla wszystkich okropności, którymi faszystowscy oprawcy próbowali zdławić opór narodu bułgarskiego. Jego wiersze były hasłami bojowymi partyzantów. Stojący na miejscu rozstrzelania komuniści, w swych ostatnich minutach śpiewali: „Ten, który życie dał za swobodę, ten nie umiera...”

Jego poezja jest i dziś natchnieniem narodu bułgarskiego, jest aktualna i dziś swą nienawiścią do „carów kapitału” — jak nazywał tych, którzy teraz ze złodziejską przebiegłością kuja plany nowej wojny i w szalonych snach marzą o carstwie założonym wśród placu osieroconych dzieci, na ruinach i zgłiszczach ludzkich domostw.

Jego poezja prowadzi będzie następne pokolenia w drodze na szczyty socjalizmu i komunizmu.

Botew kocha swój naród tak, jak może kochać swój naród tylko wielki poeta, a naród bułgarski oddał mu miłość i chwałę, które należą się wielkiemu poecie.

Todor Harmandžijew

ADOLF SOWIŃSKI

Guy de Maupassant

S to lat temu, dnia 5 sierpnia roku 1850, urodził się na zamku Miro-mesnil w Normandii, w departamencie Dolnej Sekwany, Guy de Maupassant, jeden z wybitnych pisarzy realizmu krytycznego.

Ojczyzna Normandia, gdzie — według własnych słów Maupassanta — „przebycie dwudziestu mil drogi jest dla chłopca rzeczą trudniejszą niż przebycie oceanu dla człowieka cywilizowanego”, niezliczoną ilość razy pojawia się w jego twórczości to z szyderstwem i zjadliwą krytyką zacofania tantoższej inteligencji burżuazyjnej, to z miłością do ziemi, na której żyje rubasznym, ale mocnym i pracowitym chłopem, rzemieślnikiem, kpiącym z religii, narzuconych mu praw, konwenansów i dewocyjnej wstydlivosti, a kochającym swój kraj obrazem małych rzek i wysokich topól, ciemnych lasów i nadmorskich skał. „Kocham — powiedział później Maupassant — niebo jak ptaka, lasy jak wędrownego wilka, skały jak kozice...; kocham miłością zwierzęcą i głęboką... wszystko co żyje i wszystko co rośnie...”

Według starych wzorów kulturalnego życia Francji Maupassant, nie bacząc na miłość do swej ziemi rodzinnej, porzucił Normandię dla Paryża. Osiedlił tam w roku 1871, a więc licząc zaledwie lat dwadzieścia jeden. Przez dziesięć lat był skromnym urzędnikiem w ministerstwie marynarki, a następnie w ministerstwie oświecenia publicznego. Pisał i szybko zaczął zdobywać sławę literacką. Na świetnym noweliście wychował go sam Gustaw Flaubert, krewny jego matki. Zainteresował się nim również Emil Zola, który w swych „Soirées de Médan” opublikował jego słynną nowelę „Boule de Suif”, noszącą w polskich przekładach trafny tytuł „Baryczki”.

Dwadzieścia lat życia spędzonego w Paryżu jest dla Maupassanta okresem niesłychanie ożywiającej twórczości. Ten silnie zbudowany Norman, niestrudzony we wszystkich swych pasjach i przedsięwzięciach, był prawdziwym tytanem pracy, pętrał bowiem wydawać rocznie po czterech i pięć tomów swych dzieł. Jeżeli — używając życia — potrafił go nadużywać, to w równym stopniu potrafił nadużywać pracy. Ażeby zwiększyć wydajność umysłu, podniecał się eterem, kokainą, morfiną, haszyszem. Musiało to oczywiście doprowadzić do załamania się fizycznego. Kończąc zaledwie czterdziesty pierwszy rok życia, Maupassant popadł w obłąd. Żył w tym stanie jeszcze dwa lata, po czym umarł w r. 1893, nie powróciwszy do pełni władz umysłowych.

W ciągu krótkiej, jak widzimy, ale bardzo obfitej twórczości Maupassant napisał około trzystu opowiadań zebranych w piętnastu tomach. Do najsynowniejszych należą tomy następujące: „Maison Tellier” (1881), „Mademoiselle Fifi”, „Contes de Béatrice” (1883), „Clair de lune”, „Les soeurs des Rondoli”, „Yvette”, „Miss Harriet”, „M. Parent” (1884). Ponadto wydał sześć powieści, a mianowicie: „Une vie” (1883), „Bel ami” (1885), „Mont Oriol” (1887), „Pierre et Jean” (1888), „Fort comme la mort” (1889) i „Notre Coeur” (1890). Jego twórczości dopełniają tomy wrażeń z podróży i recenzje teatralne. Łącznie około trzydziestu tomów w ciągu dwudziestu lat.

Powieści Maupassanta zajmują drugorzędne miejsce w jego twórczości. Są nawię w kompozycji i powierzchniowe w obserwacji, a te z nich, które autor napisał już pod koniec życia, grzeszą przede wszystkim rezygnacją z ostrej krytyki społecznej i z czynnej, twórczej postawy wobec świata. Pod wpływem rozwijającej się choroby Maupassant zaczął mówić o bezcelowości ludzkich wysiłków, przyjął do swego słownika dźwięk rozmaitych fałszywych monet epoki w rodzaju pojęcia „nicości”, podziwiał Schopenhauera, pogardzał życiem, nie wierzył w poznanie. „Mysł ludzka — pisał wtedy — ...ma z góry ustalone, ciasne granice, których nie można przekroczyć, gdy się raz je osiągnie, myśl ludzka krąży wokół jak koń w cyrku, jak mucha w zakorkowanej butelce”.

Trzeba więc wybrać właściwego Maupassanta, gdy chcemy o tym pisarzu mówić jako o realisście krytycznym. Jest nim Maupassant ze swych krótszych i dłuższych



opowiadań, stanowiących krytykę społeczeństwa burżuazyjnego, a jeszcze częściej układających się w kształt zimnej, pogardliwej satyry na ludzi z „małej burżuazji”, której ostoja jest przede wszystkim drobniomieszczanostwo. Maupassant świetnie umie demaskować nicotę moralną tych — według jego własnych słów — reakcjonistów bez określonej rzekomo przynależności partyjnej, ale stanowiących poslušne i wierne szeregi klasy panującej w jej walce przeciwko interesom ludu. Balzac objął swą krytyką przede wszystkim tak zwane „szczyty” burżuazji, narzucając oczom i umysłowi czytelnika wielkie, jak gdyby skondensowane przejawy struktury gospodarczej kapitalizmu i odnośnej obyczajowości. Maupassant przeprowadził ostrą, trafną i wyczerpującą krytykę „dołów” burżuazji, gdzie tak często mamy do czynienia z typem moralnego burżuja, którego stopa życiowa niewiele różni się od stopy życiowej proletariusa, ale wszelkie wysiłki służą panowaniu burżuazji. Typ małego, moralnego burżuja jest postacią, która niezliczoną ilość razy powraca w opowiadaniach Maupassanta, ukazując zło moralności burżuazyjnej i rozmiary zatoczonej przez nią propagandę. „...wróg wszelkiej nowości — mówi Maupassant o jednym ze swych małych burżujów — przechodził do porządku dziennego nad wydarzeniami politycznymi, które zresztą jego dziennik, zawsze z jakiegoś powodu przekupiony, zazwyczaj przedstawiał mu w zniekształceniu”.

Należy jednak postawić kropkę nad i: będąc krytykiem burżuazji, Maupassant był jednocześnie przedstawicielem burżuazji. Będąc krytykiem moralności burżuazyjnej, uosabiał jej zło najczęściej w postaciach „małej burżuazji” i żywił pogardę dla akurat dorabiających się burżujów, ale darzył podziwem wielkie bogactwo, które już zdążyło obrósnąć tradycją. W tej tradycji dopatrywał się bezwzględnych wartości kulturalnych. „Oskarża — pisał — bogactwo o to, że zrywając kwiaty niewinności synów ludu. To nie jest prawda. Bogaci odwdzięczają się za bukiety, które zebrał”.

A więc — krytykując burżuazję — Maupassant nie zdołał opuścić stanowiska burżuazji i niejednokrotnie wygłaszał na jej rzecz mowy obroncze. Sztydził z małego zła, a zamykał oczy na wielkie zło, porwany urlokiem dość romansowo umownych buidarów i strojną pięknością kobiet ze sfer wielkiej finansjery oraz nieodrodnego od niej co do podstaw ekonomicznych i moralnych półświatka. Tam zawodziła jego przenikliwość realisty krytycznego, a jeżeli nawet i tam spotykamy niekiedy sarkazm i pogardę, chodzi raczej o krytykę jednostek niż o krytykę systemu.

Dlatego, skreśliwszy żywy obraz „małej burżuazji” oraz gnających z niej ku górze karierowiczów i dorobkiewiczów, Maupassant nie zdołał dać realistycznego obrazu świata wielkich i ciemnych spekulacji, świata Lucjanów de Rubempré i Cesarów Biotteau, a chociażby świata potentatów prasowych, którzy karmią do syta swoimi kłamstwami małego burżuja, kształtując go na „wroga wszelkich nowości”.

Balzakiem swojego czasu Maupassant nie był.

Adolf Sowiński

JAN REYCHMAN

Mickiewicz na Węgrzech

Znany węgierski bibliograf i historyk literatury Aleksander Koczca wydał świeżo jako odbitkę z budapeszteńskich „Études Slaves et Roumaines” rozprawkę „Contributions à l'étude des échos hongrois de Mickiewicz” (Budapeszt 1949) poświęconą dziejom znajomości i kultu polskiego wieszca wśród naszych węgierskich przyjaciół.

O ile inni poeci polscy epoki romantyzmu dość późno zostali poznani przez Węgrów, o tyle imię Mickiewicza stosunkowo wczesnie dostało się na Węgry. Przyczyniła się do tego zarówno sama postać wieszca, demokracji i rewolucjonisty, jak i humanistyczny charakter jego twórczości. Z wieloma twórcami Mickiewicza zapoznali się Węgrzy, choć pośrednio, już w połowie XIX wieku.

Już w r. 1834, w organie Towarzystwa Naukowego na Węgrzech „Tudománytár” znaną krytykę i historię literatury Francuskiej Toldy ogłosił szkic „Krótkie dzieje literatury polskiej”, w którym wykorzystano w dużej mierze dane zamieszczone w Almanachu Karlsbadzkim z 1831. W szkicu tym Toldy pochwlebnie wspomina o Mickiewiczu, zaopatrując swój artykuł we fragment przekładu (oczywiście z drugiej ręki) „Konrada Wallenroda”. W następnym roku Toldy zapoznał jeszcze czytelników „Tudománytár” z innymi twórcami naszego wieszca znanymi mu z niemieckich przekładów. W r. 1839 na łamach „Athenaeum” znany poeta Kazimierz opublikował fragment przekładu z „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa” („Zarandokáság könyve”).

Jeszcze za życia Mickiewicza ukazało się interesujące studium węgierskiego działacza emigracyjnego, polihistora i krytyka Kerbenego, „Nasza literatura za granicą”, w którym autor wspominał też o swoim osobistym zeknięciu z Mickiewiczem w Paryżu. Mickiewicz interesował się poezją węgierską, zwłaszcza Petőfim i Vörösmartyem.

Zgon Mickiewicza wywołał na Węgrzech żywe echa: wyrazem tego były dwa oryginalne artykuły o Mickiewiczu: Kazimiego w „Uj Magyar Muzem” i Pompérego w „Pesti Napló”; przełożono poza tym na język węgierski artykuł Cypryła Roberta, wreszcie sporo o Mickiewiczu zawierały artykuły Huszara o literaturach słowiańskich w „Szépirodalmi Közöny” (1857), Kazimiego o literaturze polskiej w „Uj Magyar Muzem” (1858) i Riedla o literaturach słowiańskich w „Kritikál Lapok” (1862).

Od lat sześćdziesiątych zainteresowanie Mickiewiczem jest na Węgrzech stosunko-

Żyje on, żyje! U stóp Bałkanu we krwi utonął, leży i jęczy junak z głęboką na piersi raną, bohater w męskiej sile młodzieńczy.

Strzelbę odrzucił na jedną stronę, na drugą — szybłą złamaną na pół, głowa się chwieje, oczy zamglone, usta zlorzczą całemu światu!

Tak leży junak i dogorywa, a z nieba słońce gniewnie dopieka; zniwiarka w polu śpiewa u żniwa, krew tym obficie z rany wycieka!

Żniwo dziś... Ciężko pieśń wasza płynęła o niewolnicę! Słńce, gorące pal tę niewolną ziemię! Niech zginie i ten z junaków... Leczą zamilcz, serce!

Kto w krwawym boju padł za swobodę, ten nie umiera: nad nim się żalą ziemia i niebo, zwierzę i przyroda, pieśniarze długo w pieśniach go chwala.

W dzień go ocienia skrzydłem orlica i wilk łagodnie ranę mu liże, a nawet sokół, ptak-błyskawica, dlań, jak dla brata, lot swój obniża.

Wieczór zapadnie — miesiąc ogrzeje, gwiazdy wylegną na strop niebieski; lasy zasumiają, wiatry powieją — to Bałkan śpiewa powstańcze pieśni!

Rusalki, całe w biel przystrojone, piosnkę zanuca, cudne, przepiękne, cicho po trawie przejdą zielonej i do junaka dojdą i klękają.

Jedna mu zielen ranę opatrzy, druga go spryska wodą źródlaną, trzecia go szybko — a na tę patrzy — w usta całej, miła rozsmiana!

„Gdzie jest Karadza? Siostrze, ja muszę wiedzieć, gdzie moja wierna drużyna. Powiedz, a potem bierz moją duszę, ja, siostrze miła, tutaj cncę zginąć!”

Spojrzą po sobie i w dłonie plasną a potem z pieśnią polecą w gwiazdy — śpiewając, lecąc do zorzy jasnej, w niebie szukają ducha Karadzy.

Ale już świta! I na Bałkanie spoczywa junak, krew zeń wycieka — i wilk okrutną liże mu ranę, a słońce z nieba pali, dopieka.

wo słabsze. Literatura, krytyka literacka, dotychczas związane z najpostępowym nurtem w życiu narodowym, tracąc stopniowo swe stanowisko, cofają się na inne pozycje. Mickiewicz, piemienny poeta-demokrata piszący w r. 1849 entuzjastyczne artykuły o rewolucyjnych Węgrzech w „Trybunie Ludów”, stał się coraz dalszy i obcy dla Węgrów ugodny austriacko-węgierskiej z roku 1867, Węgier kapitalizmu i imperialistycznej ekspansji na Bałkany, Węgrów uwiązanych przez Andrássiego do bismarckowskiej osi Berlin — Wiedeń — Budapeszt. Na Węgrzech, gdzie fałszowano Petőfiego, nie było już miejsca na kult polskiego poety rewolucjonisty. Szkice o Mickiewiczu są coraz rzadsze, coraz mniej oryginalne, pochodzą z pióra mniej znanych krytyków. Są to już często kompilacje, nawet przedruki. Oczywiście twórczość Mickiewicza omówiona była we wszystkich większych zestawieniach historii literatury powszechnej u Hamvasa w wydawnictwie „Monarchia Austro-Węgierska”, w zbiorowych wydawnictwach Heinricha, Wieglera, Szerba. W epoce kontrrewolucji po r. 1919 nie ukazało się żadne oryginalne studium o Mickiewiczu, ani żadne pochodzące od autorów o takim nazwisku, jak w swoim czasie Toldy czy Kazimierz. Od początku XX wieku ukazało się tylko parę zagubionych po rozmaitych mniej znanych czasopiśmie i wydawnictwach artykułów rzadkich miłośników literatury polskiej, jak Tomcsányi, Bevilacqua-Borsody, Nagy-solymossy, G. Lukács, Palóczi.

Po pierwszych przekładach Mickiewicza z lat trzydziestych nastąpiła i w tłumaczeniach dłuższa przerwa aż do lat osiemdziesiątych. Przełożył wtedy na węgierski „Sonety Krymskie” E. Gáspár (1880). W r. 1895 nowy przekład „Sonetów Krymskich” wraz z innymi sonetami wydał J. Béri. Mniejszych utworów tłumaczyli jeszcze H. Béla i B. Telekes. Przełożono m. in. „Panią Twardowską” i „Trzech Budrysów”. Większość tych przekładów rozproszona była po rozmaitych czasopiśmie; osobno wyszły tylko zbiorki Gáspára i Bériego.

Od r. 1907 aż do ostatnich lat nie ukazało się na Węgrzech ani jeden przekład Mickiewicza. Ta luka ma swoją wymowę. Węgry kontrrewolucji i faszyzmu ignorowały Mickiewicza, ale za to w r. 1936 wystawiono w Budapeszcie „Niesboską”. Przekład „Pana Tadeusza” dokonany przez sędziwego Jana Sziklaję gotowy był w r. 1938, ale

(Dokończenie na str. 9)

ROMAN ZIMAND

Estetyka wojującego materializmu

REWOLUCJA kulturalna, podobnie jak rewolucja społeczno-polityczna, nie może się obejść bez teorii. Znacząca rewolucyjna teoria sztuki — marksistowsko-leninowskiej estetyki — jest dla działacza frontu kulturalnego równie niezbędna jak znacząca rewolucyjna marksistowska ekonomia dla pracownika aparatu gospodarczego. W sferze kultury również obowiązuje podstawowa prawda walki klasowej głosząca, że gdzie nie ma nas, tam jest wróg.

Trzeba przy tym pamiętać, że wyrazem odchylenia pravicowo - nacjonalistycznego w dziedzinie kultury była między innymi wyraźna niechęć do marksistowskiej estetyki w ogóle, a do jej najcenniejszej części, estetyki radzieckiej, w szczególności. Znajdowało to odzwierciedlenie w bojowym hasle gomulkowskiżyny na terenie kultury: realizmu socjalistycznego nie ma.

Ale nawet tam, gdzie nie mieliśmy do czynienia z wyraźnie sprecyzowanym oportunizmem w dziedzinie polityki kulturalnej, nawet tam braki teoretyczne dawały się i dają się jeszcze niekiedy odczuć. Dlatego każda publikacja z zakresu estetyki marksistowsko-leninizmu jest tak potrzebna twórcom, krytykom i konsumentom dóbr kulturalnych. Dlatego wydany niedawno zbiór artykułów Plechanowa¹⁾ o literaturze i sztuce jest w naszych warunkach pozycją bardzo cenną.

*

Prace Plechanowa z zakresu teorii sztuki łączą w sobie dwa pierwiastki: marksistowską filozofię i socjologię oraz materialistyczną estetykę rosyjskich rewolucyjnych demokratów.

XIX wiek niósł systematyczny uwiąd burżuazyjnej myśli estetycznej na zachodzie. Dokonywano wprawdzie poszczególnych odkryć, pisano monografie, odkrywano stare rzeźby i rękopisy, ale w zakresie ogólnej teorii sztuki od połowy XIX w. nie umiano się zdobyć na nic więcej nad — idealistyczną w ostatecznym rozrachunku — estetykę sywego mieszczaucha, Taine'a.

W tym czasie Rosja była jedynym krajem, w którym produkujący ludzie epoki walczyli o materialistyczną, rewolucyjną teorię sztuki. Bieliński, Czernyszewski, Dobrolubow podnoszą materialistyczną estetykę na najwyższy w filozofii przedmarksowskiej poziom. Rosyjska materialistyczna estetyka XIX w. powstaje w atmosferze wielkiego napięcia ideowego. „Sztuka bez idei — wołał Bieliński — to człowiek bez duszy, to tyle co trup”. Tą wielką ideą, której bronili Bieliński i Czernyszewski, była idea sztuki służącej sprawie wyzwolenia ludu.

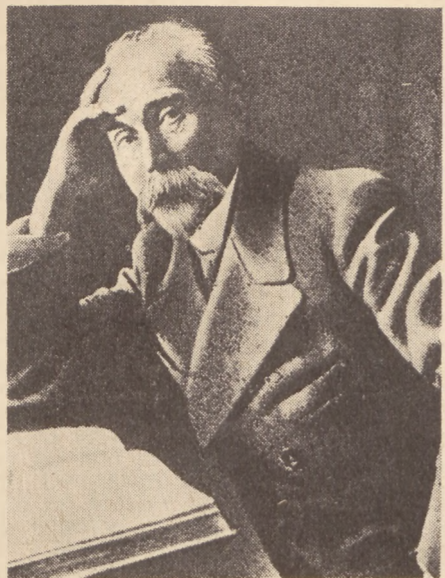
Plechanow był kontynuatorem tych wielkich tradycji rosyjskiej materialistycznej estetyki. Plechanow — mówił A. Zdanow — „wiele zdziałał dla zdemaskowania idealistycznych, antynaukowych pojęć o literaturze i sztuce, dla obrony podstawowych założeń naszych wielkich rosyjskich rewolucjonistów-demokratów, którzy uczyli widzieć w literaturze potężny środek służenia ludowi”.

Już w pierwszym liście bez adresu Plechanow daje definicję sztuki 1) „...sztuka zaczyna się wtedy, kiedy człowiek wywołuje w sobie uczucia i myśli, których doznał pod wpływem otaczającej go rzeczywistości, i wyraża je przy pomocy pewnych obrazów. Rozumie się samo przez się, że w ogromnej większości wypadków czyni on to w celu przekazania tego co przemyślał innym ludziom. Sztuka jest zjawiskiem społecznym”.

Definicja powyższa posiada istotne znaczenie dla zrozumienia estetyki marksistowskiej. Po pierwsze odgracza się ona z miejsca od koncepcji idealistycznych: sztuka jest odbiciem otaczającej człowieka rzeczywistości, jest zjawiskiem wtórnym i bez tej rzeczywistości nie dającym się pomyśleć. Ważnym składnikiem przytoczonej tu definicji jest kwestia społecznego charakteru sztuki. Plechanow nie przypadkiem podkreśla tu słowo „społeczny”. Płyną stąd bardzo ważne konsekwencje dla pojmowania sztuki. Jeżeli bowiem sztuka jest odbiciem rzeczywistości i zjawiskiem społecznym, to podlega prawom rządzącym społeczeństwem, to jest wyrazem interesów danego społeczeństwa lub danej grupy społecznej. Z tezy o społecznym charakterze sztuki wypływa teza o klasowym, politycznym charakterze sztuki jako dziedzinie nadbudowy. Jest to jedno z fundamentalnych założeń estetyki marksistowskiej.

Nie przypadkowo również podkreśla Plechanow, że sztuka związana jest z myślą. Burżuazyjna estetyka uparcie podkreśla, że dzieło sztuki, w odróżnieniu od dzieła naukowego, nie spełnia funkcji poznawczych, nie służy poznaniu otaczającego nas świata. Stanowisko to wiąże się ściśle z „kontemplacyjnym” charakterem wrażeń estetycznych, które burżuazyjna estetyka przejęła w spadku po Kancie. Plechanow zajmuje w tej sprawie zgoła odmienne, materialistyczne stanowisko: dzieło sztuki — zdaniem marksistów — spełnia, podobnie jak dzieło naukowe, funkcje poznawcze. Różnica polega więc nie na tym, że nauka daje nam wiedzę o świecie, a sztuka nie, lecz na tym, że nauka posługuje się pojęciami logicznymi, a sztuka obrazami. Ze stanowiska tego płyną bardzo istotne konsekwencje praktyczne. Jeżeli bowiem — jak to jest w rzeczywistości — sztuka spełnia funkcje poznawcze, jeżeli daje nam wiedzę o świecie, to winniśmy wymagać od artystów, ażeby była to wiedza możliwie najpełniejsza; to znaczy, że postulowane sztuki realistycznej było i jest umotywowane naukowo, wypływa bowiem z samej istoty sztuki.

Cykl artykułów Plechanowa pt. „Listy bez adresu”, w którym zawarta jest powyższa definicja, jest ważny dla zrozumienia marksistowskiej estetyki. Plechanow, abstrahując od szeregu ciekawych lecz drugorzędnych w danym wypadku problemów, poświadcza „listy” problemowi g e n e z y sztuki. Jest to problem posiadający doniosłe znaczenie teoretyczne i praktyczne. Wystarczy zastanowić się nad konsekwencjami płynącymi ze stanowiska zwalczanego w „listach” przez Plechanowa — że stanowiska wywodzącego sztukę z zabawy, które łączy się właśnie z pewnymi odmianami estetyki neokantyzmu. Głównym założeniem tej estetyki jest teza, że wrażenia estetyczne wywoływane są w człowieku przez przedmioty i zjawiska,



Jerzy Plechanow

które postrzegamy „bezinteresownie”, które „kontemplujemy”, nie bacząc na ich treść i funkcję społeczną.

Rzecz jasna, że „zabawowa” geneza sztuki, gdyby była prawdziwa, potwierdzałyby słuszność neokantowskiej teorii wrażeń estetycznych. W rzeczy samej — pojęcie zabawy częściowo zawiera w sobie drogi neokantystom element „bezinteresowności”; sztuka wywodząca się z zabawy byłaby właśnie sztuką „czystą”, wywołującą „bezinteresowną kontemplację społeczną”.

Plechanow wykazuje na przykładach, że teorie wywodzące sztukę z zabawy zupełnie się nie liczą z materiałem faktycznym, zebrany przez etnologów czy historyków sztuki, że są po prostu nieprawdziwe. Co więcej, Plechanow udowadnia, że u ludów prymitywnych same zabawy, z których ma się rzekomo wywodzić sztuka, nie są czynnikiem pierwotnym w ich życiu, ale stanowią tylko swoiste odbicie ich trybu życia. Argumenty autora „listów” obalają nie tylko teorie wywodzące sztukę z zabawy, ale pośrednio godzą w jedno z istotnych założeń neokantowskiej estetyki. Trzeba tu jednak powiedzieć, że Plechanow w tej walce z kantyzmem nie jest konsekwentny. W „liście” piątym, zastanawiając się nad istotą przeżyć estetycznych, nie tylko ześlizguje się na pozycję idealizmu, ale, co więcej, przeży sam siebie. W polemice z Bücherem Plechanow doprowadza czytelnika do następującego rozwiązania problemu genezy sztuki: „praca jest starsza od sztuki... człowiek z początku patrzy na przedmiot i zjawiska z punktu widzenia użytecznego, a później zajmuje w stosunku do nich stanowisko estetyczne”.

Plechanow rozwija tu myśl Engelsa, który w opublikowanym pośmiertnie artykule „Rola pracy w procesie uciwoczenia małpy” pisał: „Tylko dzięki pracy... osiągnęła ręka ludzka tak wysoki stopień doskonałości, że... potrafiła wyczarować obrazy Rafaela, posągi Thordwaldsena, muzykę Paganiniego”²⁾.

Sztuka wywodzi się z pracy — Plechanow dokumentuje tę tezę szeregiem faktów — ale jeśli tak jest, to sztuka w ostatecznym rachunku uzależniona jest od bazy ekonomicznej, od materialnych warunków bytu danego społeczeństwa.

„Listy bez adresu” dają więc nie tylko odpowiedź na pytanie, jaka jest geneza sztuki, dają również klucz do rozwiązania istotnych problemów estetyki w społeczeństwie klasowym. Materialistyczna definicja sztuki, zgodna z prawami rozwoju historycznego, wyjaśnienie genezy sztuki, pozwala na pełniejsze zrozumienie istoty rozwoju sztuki w społeczeństwie klasowym, czemu poświęcone są dwie następne prace Plechanowa.

Analiza genezy i roli sztuki w społeczeństwie rodowym stanowi w niniejszym zbiorze wstęp do rozważań nad sztuką społeczeństw klasowych. Analiza ta jest niezbędna dla zrozumienia tak istotnego problemu, jak stosunek sztuki do warunków materialnego bytu społeczeństwa, ale jest jednocześnie niepełna, ponieważ dotyczy specyficznych warunków społeczeństwa pierwotnego. Z chwilą podziału ludzkości na antagoniście klasy następuje istotny jakościowy przewrót nie tylko w zakresie społecznym (powstanie klas) czy ustrojowym (powstanie państwa) — ale również w dziedzinie „konsumcji” i „produkcji” sztuki. Od niewolnictwa aż do kapitalizmu wywołana tym podziałem walka klas jest jednym z najistotniejszych czynników determinujących rozwój sztuki. Bez uwzględnienia klasowego charakteru sztuki nie ma mowy o naukowej teorii czy historii sztuki.

I dlatego Plechanow, pisząc swoją pracę o malarstwie i dramaturgii francuskiej w. XVIII, nie przypadkowo zaczyna od stwierdzenia: „Dla francuskiego społeczeństwa XVIII w. z punktu widzenia socjologii charakterystyczne jest przede wszystkim to, że było ono społeczeństwem podzielonym na klasy. Okoliczność ta musiała nieuchronnie zaciążyć na rozwoju sztuki”.

Całe studium „Francuska literatura dramatyczna i malarstwo francuskie wieku XVIII z punktu widzenia socjologii” poświęcone jest analizie klasowego uwarunkowania rozwoju sztuki. Praca ta wykracza daleko poza ramy sztuki francuskiej XVIII w. Metodologicznie rzecz biorąc, odegrać ona może rolę przewodnika po historii sztuki społeczeństw klasowych. Na przykładzie malarstwa le Bruna, Bouchera, Greuze'a i Davida Plechanow pokazuje, jak należy interpretować i gdzie należy szukać źródeł przemian w sztuce. W sposób niezmiernie przejrzysty pokazuje on, jak wielka, klasowa, ideowa i formalna różnica dzieł klasycyzmu i piewcy monarchii absolutnej le Bruna od klasycyzmu piewcy rewolucji burżuazyjnej — Davida. Analiza ta jest tym ciekawsza, że dokonana została w ramach pozornie jednolitego prądu artystycznego, poszukującego praworu w starożytności grecko-rzymskiej.

Właściwe ujęcie treści i formy pozwala na sprowadzenie analizy dzieł sztuki z podobnych wyżyn rozważań o „jaźni artystycznej” lub „odwiecznych prawach kompozycji” na realny grunt walk klasowych

danego społeczeństwa. Plechanow pokazuje, że właściwą treść obrazu stanowi nie fabuła, tylko idea, myśl przewodnia uwarunkowana stanowiskiem klasowym twórcy. Rzymianie le Bruna i Rzymianie Davida — pokazuje Plechanow — to różni ludzie; pierwsi bronią starożytności i dlatego są przebrani w togę arystokratami, drudzy walczą o nowy ustrój i dlatego ideałem ich jest republikanin Brutus. Plechanow daleki jest przy tym od wulgaryzacji. Pokazuje całe skomplikowanie korelacji treści i formy i ich wzajemne oddziaływanie, zawsze jednak powstaje wierny materialistycznie interpretowanej zasadzie Hegla: „W sztuce jak w każdej innej działalności ludzkiej treść posiada znaczenie decydujące”.

Rozbiór mieszczańskiej „Izawy komedii” czy „moralnego” malarstwa Greuze'a wykracza daleko poza granice historii sztuki i stanowi, jeśli odrzucić niezbyt szczęśliwe kombinacje z triadą i naśladownictwem, wspinały przyczynę do studiów nad klasowością sztuki. Przy czym ogromnie cenne jest tu dialektyczne ujęcie rozwoju sztuki ujawniające cały mechanizm walki klasowej w malarstwie czy teatrze. Essay o sztuce francuskiej XVIII w. stanowi — mimo olbrzymi skok w czasie — świetnie uzupelnienie rozważań o sztuce ludów pierwotnych. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że oba te szkice łączy jedność metody i teorii; oba oparte są na założeniach materializmu historycznego. Ale w obu pracach zawarty jest jeden i ten sam błąd: niekonsekwentna postawa wobec estetyki Kanta.

Krytykując kantowską koncepcję bezinteresownego, kontemplacyjnego charakteru doznań estetycznych, Plechanow dokonuje następującego podziału: teoria Kanta jest błędna w odniesieniu do grup społecznych, natomiast wtedy, gdy chodzi o jednostkę, „pozostaje nam dużo wolnego miejsca i dla poglądu Kanta”. Dzieje się tak, zdaniem Plechanowa, dlatego, że „sąd smaku niewątpliwie zakłada, że jednostka wydająca go nie kieruje się żadnymi względami użytecznymi”.

Jest to pogląd z gruntu błędny, nie marksistowski. Plechanow zapomina, że „jednostka” wydająca sąd smaku jest zawsze w społeczeństwie klasowym reprezentantką określonej klasy i co za tym idzie, jej sąd posiada charakter użyteczny — wypływający z interesów danej klasy. Przeciwnie, jednostki i społeczeństwa nie ma nic wspólnego z marksizmem i wynika chyba, między innymi, z całkowitego niezrozumienia dialektycznego stosunku tego co szczegółowe do tego co ogólne.³⁾

We wspomnianym ustępstwie na rzecz Kanta widać olbrzymią różnicę między twórcą bolszewizmu Leninem, a mienszewikiem Plechanowem. W tym samym roku 1905, kiedy został napisany essay o sztuce francuskiej w. XVIII, Lenin opublikował słynny artykuł „Partyjna organizacja i partyjna literatura”, w którym jakby w odpowiedzi na kantowskie błędy Plechanowa pisze: „Życie w społeczeństwie i być wolnym od społeczeństwa nie można”.⁴⁾ Powyższa teza wyraża całkowitą błędność plechanowskich prób pogodzenia się z Kantem i nie zostawia żadnego „wolnego miejsca” dla kantowskiej teorii kontemplacji.

Krytykując Plechanowa, należy jednak podkreślić, że jego pojednawczość wobec Kanta w sferze zagadnień ogólnoteoretycznych pozostaje w całkowitej sprzeczności z dokonywaną przezeń analizą sztuki francuskiej XVIII w. Na tym terenie Plechanow jest marksistą — stąd nieprzemijająca wartość omawianej pracy.

O ile praca o malarstwie i dramaturgii francuskiej XVIII w. poświęcona była przede wszystkim rozwojowi sztuki mieszczaństwa z jego rewolucyjnego okresu, o tyle essay „Sztuka i życie społeczne” zajmuje się głównie analizą sztuki burżuazyjnego okresu upadku. Ale jak analiza „Izawy” komedii wychodziła daleko poza ramy wieku XVIII, tak też rozważania na temat romantyzmu, parnastów i impresjonistów wybiegają daleko poza dany okres. Myślą przewodnią artykułu Plechanowa jest walka z formalizmem, walka z hasłem „sztuka dla sztuki”.

Z zamieszczonych w niniejszym zbiorze prac, ta niewątpliwie wymaga największej czujności czytelnika pragnącego poznać założenia i metodologię estetyki marksistowskiej. Artykuł „Sztuka i życie społeczne”, napisany w 1912 r., nosi najwyraźniejsze ślady odstępstwa od marksizmu. Lenin pisał gdzieś, że reakcyjnemu filozofowi Schopenhauerowi udało się jedno powiedzenie: „kto niejasno myśli — ten niejasno wyklada swoje myśli”. Bez wątpienia maksymę tę można zastosować do wielu też omawianego artykułu, w którym obok szeregu cennych i słusznych uwag znaleźć można nie mało niejasności i błędów.

Zastanawiając się nad klasowym uwarunkowaniem hasła „sztuka dla sztuki”, będącego bojowym wezwaniem dekadentyzmu — Plechanow pisze: „Sztuka taka jest symptodem upadku całego układu stosunków społecznych i dlatego bardzo słusznie nazywa się dekadencją”. Tam, gdzie Plechanow w oparciu o tę tezę przeprowadza analizę upadku sztuki burżuazyjnej, tam krytyka jego trafia w sedno, odkrywa istotę zagadnienia, przekonywuje czytelnika.

Wspaniale przeprowadzona krytyka antyhumanistycznego stanowiska impresjonistów, wykazanie pokrewieństwa klasowego kubizmu i subiektywnego idealizmu, rzeczowa analiza wpływu bezideowości lub ściśle, reakcyjnej ideologii na formę artystyczną utworu doprowadza Plechanowa do zwięzłej, złośliwej a odsłaniającej klasową istotę dekadentyzmu — definicji: „Sztuka dla sztuki przeobraziła się w sztukę dla pieniędzy”.

Obok tej słusznej oceny przyczyn, które spowodowały wysunięcie hasła „sztuka dla sztuki”, Plechanow podaje również inne, niestety błędne.

„Skłonność artystów oraz ludzi żywo interesujących się twórczością artystyczną do sztuki dla sztuki wyrosła z gruntu bezadziejnego rozdźwięku między nimi a otaczającym ich środowiskiem społecznym”.

(Dokończenie na str. 10)

³⁾ O błędach Plechanowa w ujmowaniu dialektyki pisze Lenin w swoim słynnym szkicu „Przytyczek do dialektyki” — Zeszyty filozof. Wyd. ros. 1947, str. 327—330.

⁴⁾ W. Lenin. O literaturze. „Książka i Wiedza”, 1949, str. 12.

MENELAOS LOUEDEMIS

Spolszczył LECH PIJANOWSKI

LIST DO CIOREGO POETY

Nazimie Hikmet, towarzyszu, współmieszkańcze piekła,
wczoraj slyszalem Tve westchnienie do Grecji,
Bylo to nocą, w gorzkiej godzinie,
westchnienie Tve wsparlo się o nasze piersi.

Byla to godzina wiązania ran.
Podnieśliśmy bandażę, by móc Cię slysząć
wzdychającego z więzienia w Stambule
do wszystkich więzień świata.

Teraz, Nazimie, mogę ci powiedzieć,
że ścieśnili dla mnie świat,
pomsakowali rdzy łańcuchów.
Teraz, Nazimie, mogę ci powiedzieć:
na prawej obręczy mych kajdanów
czuję Twą dłoń, Nazimie, bracie w śmierci więziennej.

Nagle, wczoraj w nocy, doszedł do nas Twój list,
jak ptak, który wyfrunął z klatki,
jak ręka wyciągnięta z fał.
Drżąc czytaliśmy go, zgłoska za zgłoską,
pod szablą księżycą.
Złożyliśmy przysięgę:
wyhaftujemy na Twych szatach pięczęć Makronisos,
uznamy Cię męczennikiem honorowym, towarzyszem.

Nasze więzienie tutaj jest bez progów, otwarte,
pełne przepaści opasanych smolnym mrokiem,
w którym ruszają się wyprostowane szkielety.

Jak zdołał Twój wiersz odnaleźć nas?
Nic nie przybyło przecież nigdy tutaj
prócz katów i wiatrów północnych.
Jak zdołał Twój wiersz odnaleźć drogę?

To, co się zdarzyło w mym kraju, towarzyszu,
nie zdarzyło się przedtem nigdy i nigdzie na ziemi.
Nie można tego wymówić ani odtworzyć.
Powiem Ci tylko to, Nazimie: dzieci,
dzieci, które przez setki lat płakały
tylko z powodu siebie samych,
dzieci w kołyskach płaczą pieśń żalobną
niewypowiedzianym cierpieniem rodziców.
Powiem ci tylko to, Nazimie, chciałbym to wykrzyknąć,
ale moja świeczka opuszcza głowę na lichtarz
i płacze sama nad sobą.

Dobranoc, Nazimie, jutro o świcie,
o świcie tu i tam, wszędzie, gdy zrzucimy łańcuchy,
przyjdę, by Ciebie odnaleźć.
Wsiądę na statek, przybędę do Stambułu, by Cię spotkać,
zobaczysz mnie na pokładzie machającego chustką,
przyjdiesz, by mnie przywitać.
Obejmiemy się wówczas jak bracia,
będziemy wędrować po ziemi, na której się urodziłem.

Jeśli masz matkę, jeśli masz matkę, towarzyszu,
schylę się ucałować rękę tej,
co dała życie bratu, którego potrzebowałem.
Jeżeli masz brata,
poproszę go, by dał mi Twoje imię.
Jeżeli masz syna,
umieszczę w jego dłoni
rękę mej małej córki.

Jeżeli nie masz nikogo,
jeżeli nie masz nikogo, towarzyszu, nikogo,
pokażę Ci chłopców tureckich, pocących się na molo
pokrewnym nam potem,
matki w żalobie wchodzące na wzgórze,
młodych chłopców zmarzniętych przed wystawami ślepow,
pokażę Ci tysiące matek, braci i dzieci.

Wspólnie złożymy przysięgę Bezensnego Gniewu:
nigdy się nie śmiać, jeśli nie śmiać się razem,
nigdy nie śpiewać,
jeśli nie skończą się łyzy świata.

Zapomnij mnie, towarzyszu, teraz. Zbliży się straż,
świeczka umarła na kamieniu. Życie wznies wysoko!
Pozdrawiam Cię wezwaniem z Makronisos,

brat Twój
Menelaos Loudemis.

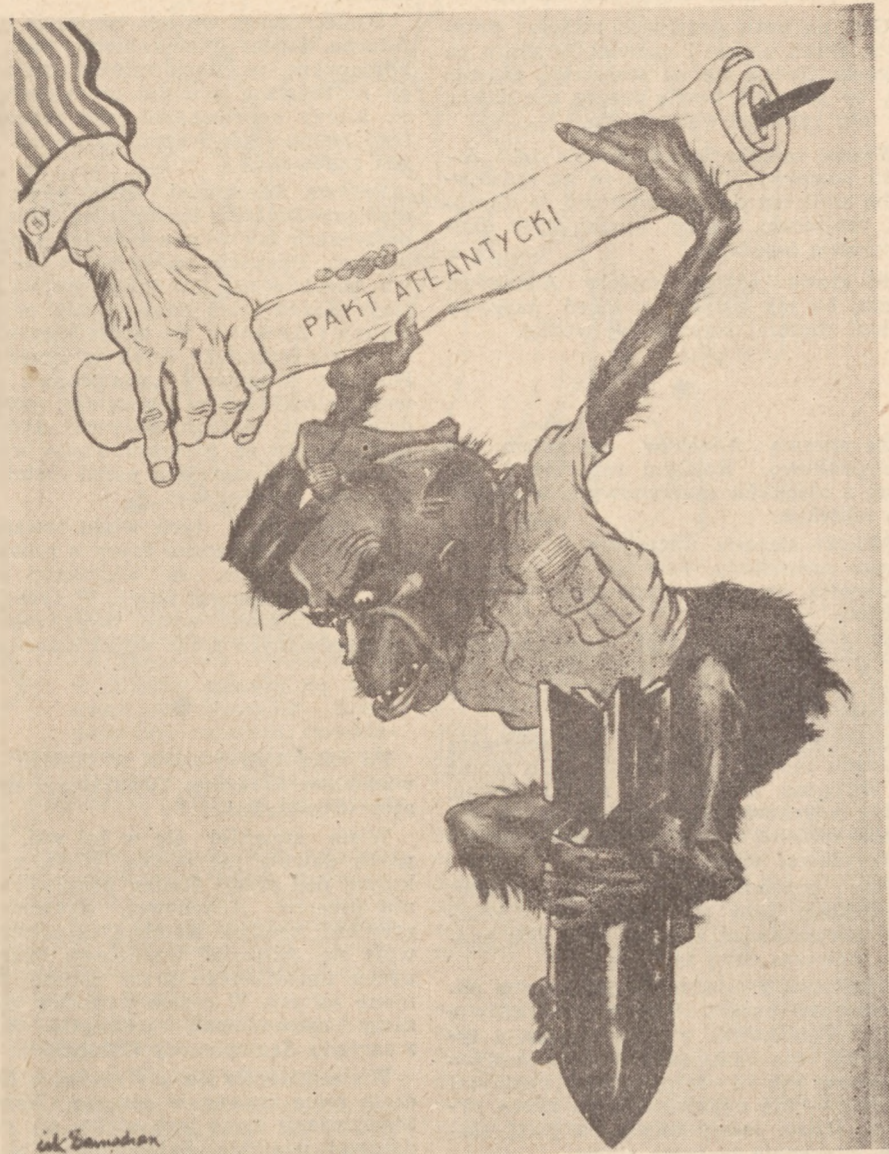
Menelaos Loudemis, znany poeta i pisarz grecki, więziony obecnie w obóz koncentracyjny Makronisos, napisał ten wiersz do Nazima Hikmeta jako odpowiedź na jego wiersz „Angina pectoris”.

¹⁾ J. Plechanow. O literaturze i sztuce. „Książka i Wiedza”, 1950.

²⁾ K. Marks i F. Engels. Dzieła wybrane. „Książka i Wiedza”, 1949, t. 2, str. 70.

WYSTAWA RUMUŃSKIEJ KARYKATURY POLITYCZNEJ

HISTERIA



Rys. Cik Damadian

WSPÓLPRACA ANGLO AMERYKAŃSKA



Rys Doru

Jest to wystawa nowych ludzi. Autorzy wystawionych karykatur są po większej części młodymi malarzami i rysownikami, którzy po wojnie zgrupowali się wokół tygodnika satyrycznego „Urzica”. Stąd brak jakichkolwiek obciążeń i tradycji formalistycznych oraz raczej bezpretensjonalna świeżość ich rysunków. Są oni bardzo pomysłowi, przy niektórych rysunkach odczuwaliśmy czysto zawodową zadrózkę, operując przy tym pomysłami czysto plastycznymi, unikając kalamburu słownego, tak przeskadzającego widzowi zagranicznemu w zrozumieniu wielu naszych karykatur politycznych. Posługują się przy tym każdy swoim indywidualnym językiem plastycznym, w sposób umiejętny, przy pomocy prostej, nieskomplikowanej metafory, aluzji czy skojarzenia, ukazując jak najszerszemu odbiorcy właściwy sens toczonej się walki. Rozumiejąc istotę karykatury politycznej, rzadko gubią się w niepotrzebnych szczegółach; wiedzą, że zadanie satyry nie polega wyłącznie na odnalezieniu śmieszności noszącej się imperializmu.

Karykatura rumuńska jest realistyczna, rysownicy unikają na ogół sztywnej schematyzacji formy i typów ludzkich. Spośród wy-

stawiających do najpopularniejszych należą: Doru, bardziej od innych syntetyczny, uproszczony w rysunku, Cik Damadian, swobodniejszy i bardzo mocny w niektórych pomysłach, dalej Taru, N. Cobar i Nik.

Karykatura rumuńska jest bardzo żywa i aktualna, artyści rumuńscy, mocno związani ze wszystkimi przejawami walki o pokój, żywo reagują na wszystkie ważniejsze wydarzenia w kraju i za granicą. Ich karykatury są w znacznej mierze poświęcone zwalczaniu sabotażu gospodarczego, walce z kułakiem i spekulantem, a więc najważniejszym przejawom walki klasowej w kraju. Biorą oni udział w każdej akcji o znaczeniu ogólnopolskim, pomagając skutecznie w demaskowaniu imperializmu i jego agentów usiłujących przeskadzać w budownictwie socjalistycznym.

Dobrze się stało, że udostępniono nam wystawę rysowników rumuńskich, walczących o pokój w jednym szeregu z postępowymi artystami całego świata. Ich osiągnięcia mogą być cennym przyczynkiem do pracy karykaturzystów polskich.

Jan Lenica

STANISŁAW GRZELECKI

Człowiek powraca na ekranie

Spośród trzydziestu przeszło filmów wyprodukowanych w Niemieckiej Republice Demokratycznej przez wytwórnię „Defa” — dotarło do nas jak dotąd zaledwie cztery. Są to: „Cztery pokolenia”, reżyserii Kurta Maetzig, „Nasz chleb powszedni”, reżyserii Slatana Dudowa — poświęcony odbudowie Niemiec po wojnie, „Rotation” — obrazujący upadek i dźwignię się jednostki porwanej kataklizmem wydarzeń politycznych, wreszcie „Rada bogów”, również Maetziga — wielkie oskarżenie sprawców wojny, film odwołujący się do przykładów historii koncernu „IG Farben” koligację hitleryzmu z imperializmem międzynarodowego kapitalizmu.

Cztery filmy — drobna cząstka dorobku kinematografii Niemiec demokratycznych — to zbyt mało, by służyć mogły za podstawę do głębszych uogólnień. Jest to jednak dorywcze, ażeby zorientować się w głównym kierunku rozwojowym odróżnionego filmu niemieckiego, by stwierdzić, iż film ten staje się jeany z ważnych środków demokratyzacji społeczeństwa niemieckiego.

Odrodzony film Niemiec demokratycznych przywraca człowiekowi gośność, brudnie podeptaną przez hitleryzm, na wzór w człowieka obcuje obraz jutra. Jest sztuką humanistyczną.

Wielkie znaczenie wychowawcze filmów Niemieckiej Republiki Demokratycznej polega na tym, iż wyraźnie, jasno mówią one społeczeństwu niemieckiemu prawdę przez samokrytyczną ocenę przeszłości. Z godną szacunku szczerością wykazują, iż bierność mas, oportunistyczny sroocwisk, tchórzostwo jednostek ułatwiły Hitlerowi jego zbrodniczą politykę.

W dążeniu do obiektywnej analizy ekonomiczno-społecznych warunków stanowiących to wojny najdalej sięga film Kurta Maetziga „Cztery pokolenia”.

Akcja filmu obejmuje okres ostatnich siedemdziesięciu lat.

Historię rozpoczyna prababka, uboga szwaczka mieszkająca w robotniczej dzielnicy Berlina. W wieku krótkim, wyrazistych scenach poznajemy sroocwisko nędzy wiekomejskiej, gdzie ciężka praca i bezrobocie, alkoholizm i prostytucja splatają się z sobą w łańcuch mizernej ludzkiej vegetacji. Opodal ciasnych i brudnych nor blyszczy dostatkami wnętrza mieszkań bogatych berlińczyków. W jednym z takich wnętrz oficerowie pruscy zastanawiają się, jakie sroocwisko dostarcza najlepszym żołnierzom, i dochodzą do wniosku, że najlepszą rekrecją to ponorscy fornaie, których w majątkach przyuczono do postuszeństwa.

W tym klimacie społecznym przychodzi na świat Augusta, córka Marii, pokojówki u pruskiego oficera. Dzieciństwo Augusty upływa nędzą bładną norą przedmieścia Berlina a szkółką, gdzie dzieci tresuje linijka nauczycielki. Mama Augusta nocą pomaga ciotce, przyszywając guziki, dniem zasypia na lekcjach w szkole.

Gdy nauczycielka wyraża opinię, iż powinna się więcej płacić robotnikom, by ich dzieci, uwolnione od konieczności pomagania rodzicom, nie zasypiały z przemęczenia na lekcjach — słyszy surowe napomnienie starszego nauczyciela: „To są socjalistyczne idee... Proszę nie zapominać, że pracuję pani w pruskim szkolnictwie...”

Socjalizm — oto groźba dla ustroju, oto niebezpieczeństwo wzbudzenia w Niemczech pragnienia wolności. Trzeba się bronić przed nim tresurą postuszeństwa w masach, tłumieniem wszelkiej myśli o buncie.

Gdy Augusta dorosnie — zostanie jak jej matka pokojówką. Nie będzie wiedziała nic o swoim prawie do buntu, dopóki nie zjawi się młody Paul Schmiedecke. Schmiedecke powie jej o sile, którą starowią tacy jak cni — proletariusze, o sile klasy robotniczej. Zwolna Augusta zrozumie pojęcie walki klas.

Lecz największą lekcją będzie dla niej wojna. Jako robotnica fabryki zbrojeniowej spotka kiedyś, przypadkiem, w tramwaju żołnierza-inwalidę wracającego z frontu. Rozmowa z nim otworzy jej oczy na prawdę.

Klasowa świadomość Augusty czyni ją czujną i krytyczną wobec rozwoju wypadków. Tysiące Niemców, takich jak ona proletariuszy, nie wyrażało zgody na politykę Niemiec rządzonych przez obszarników i kapitalistów. Jednak proletariat niemiecki nie dojrzał wtedy do obalenia ustroju. Jedni jego przywódcy, wzorem Paula Schmiedecke z „Czterech pokoleń” — sądzili, iż wywalczą zwycięstwo klasy robotniczej bez użycia siły, bez sięgnięcia po władzę, na drodze organizowania masy robotniczej w związkach zawodowych. Inni, choć poszli właściwą drogą, nie zdołali porwać mas, wywalczyć zwycięstwa.

„Cztery pokolenia” dają obraz nie tylko stosunków społecznych i ekonomicznych, sprzedających w Niemczech hitleryzm, lecz także obraz klimatu psychicznego mas niemieckich. Odkrywają przed widzem niemieckim warunki, które sprzyjały Hitlerowi w narzuceniu narodowi obłądanej polityki zaborczości i zbrodni.

W wielkim schronie berlińskim wśród nagromadzonych walizek, bagażu, jakichś przedmiotów ratowanych z płonących i walających się domów siedzą milczący ludzie, mężczyźni, kobiety, dzieci. Milczenie ludzi, którzy utracili wszystko, którzy widzą jak wali się w gruzy mił siły, jeszcze do wczoraj będącej najwyższym prawem jest wymowne. Nie stać ich na bunt, na protest. Są bierni wobec własnego nieszczęścia, jak byli bierni wobec nieszczęść innych. Wśród tego milczenia bierności odzywa się głos Augusty Schmiedecke, zwykłej kobiety z ludu:

„Byliśmy tchórzliwi, milczeliśmy...”

W „Czterech pokoleniach” Hans Schmiedecke zdobywa się tylko na wykrętnie usprawiedliwienie własnego oportunisty: „Cóż możemy na to poradzić — mówić bezradnie na widok grabieży żydowskiego mienia. — Jednostka nie może zdziałać.” „Jednostka musi mieć sumienie!” — twar-do odpowiada mu matka Augusta. Ale jej głos jest także głosem jednostki. Uczciwi ludzie w okresie hitleryzmu są samotnikami. Ich głos protestu nie wychodzi poza ściany ich domów.

Staruszkę porywają agenci gestapo, lecz jej okrzyk: „Skończcie z nazistami!” nie porusza nikogo. Hitler zniszczył cały aktywny niemiecki proletariat, 250.000 komuni-

stów i socjalistów wymordowano, ponad 600.000 zamknięto w obozach koncentracyjnych, masy pozostały bez swego człowiego oddziału. Nie było komu wyrwać je z dręt-woty narzuconej terrorem.

Augusta Schmiedecke z filmu „Cztery pokolenia” reprezentuje te jednostki, których uczciwość nie zgasła noc hitleryzmu, nie zdołały spłodzić zbrodnie hitlerowskie. Ludzie typu Augusty przechowali w sobie to co cenne było w narodzie niemieckim. Do nich odwołali się przywódcy niemieckiej klasy robotniczej, gdy bagnety Armii Radzieckiej wyrwały dla nich drogę do wolności.

W końcowej scenie filmu Augusta rozmawia ze swą wnuczką, młodą studentką. Sens tej rozmowy jest głębszy. To zdrowy głos ludu przemawia do Niemców: „Jeżeli wszyscy będziecie przeciwko wojnie — mówi Augusta — to wojny nie będzie”. „Wierzę, że podołacie”. Dialog ten przekracza ramy ekranu. Jest to rozmowa bohaterki filmu z widzami.

*

„Nasz chleb powszedni” jest filmem poświęconym odbudowie Niemiec. Podobnie, jak w innych filmach „Defy”, które dotychczas poznaliśmy, zasadniczą konstrukcyjną akcją tworzą dzieje jednej rodziny. Jest to charakterystyczny schemat omawianych filmów. Wydaje się, iż jest to także odbicie rzeczywistości niemieckiej.



Scena z filmu „Cztery pokolenia”

Niewątpliwie bowiem trudno byłoby dziś znaleźć w Niemczech rodzinę, której hitleryzm nie tylko nie rozbiłby fizycznie lecz także nie skaziłby pod względem moralnym.

W filmie „Nasz chleb powszedni”, podobnie jak w „Rotation”, rozkład moralny jednostek, dla których nawet więzy rodzinne przestały być hamulcem, pokazany jest szczególnie jaskrawo. Harry Webers po zdjęciu mundur okazuje się człowiekiem niezadowolonym do normalnej, uczciwej pracy. Film nie nam nie mówi o jego przeszłości, lecz mamy prawo przypuszczać, że przeszedł przez „Hitlerjugend” zanim został strzelcem pancernym czy lotnikiem. Tysiące młodych Niemców uczono tam, że moralność to znaczy przemoc, ukazywano im miraż wygodnego życia, gdy podbijają Europę, a jej ludy zaprzęgnię do niewolniczej pracy. Nie nauczyono ich pracować. To też Harry Webers jest najsmutniejszą spuścizną hitlerowskiego systemu wychowania. Dla niego zdobyć chleb, to znaczy zdobyć go dostojnie, wydrzeć słabszemu, gdy nie można inaczej.

Jednym z najsilniejszych dramatycznie fragmentów filmu „Nasz chleb powszedni” jest właśnie scena zdobycia przez Harry'ego bochenka chleba. W ciemności napada on na swego własnego ojca, nie poznając go, i wydziera mu chleb. Harry zdobył w ten sposób chleb nie dla siebie, lecz właśnie... dla ojca. Spełnił obietnicę daną macosze, że przyniesie chleb na kolację. Własne upodlenie było ceną utrzymania opinii człowieka, który umie sobie radzić dzielnie, któremu się wszystko udaje.

Bankructwo moralne Harry'ego, któremu pozostaje już tylko odejść, jest jednym ze skutków deprawacji moralnej jednostek przez hitleryzm.

W filmie „Rotation” syn dwukrotnie oskarża własnego ojca przed gestapo o wrogą działalność przeciw Führerowi. Chłopca uczono wszak w szkole: „Führer ma zawsze rację”. „Führer żąda posłuchu, wierności, czujności, poświęcenia”. Tresura odebrana w „Hitlerjugend” nie zawiodła. Chłopiec poświęca swe synowskie przywiązanie. Za ojcem zamyka się brama Moabit.

Trzeba przyznać, że obraz spustoszeń, które hitleryzm wyrządził w ludziach, w ich myślach i uczuciach, ukazują niemieckie filmy z brutalną nieraz szczerością. Ale tak właśnie trzeba, jeśli istota i rozmiar tych spustoszeń mają głęboko przeniknąć do świadomości społeczeństwa niemieckiego.

„Nasz chleb powszedni” tchnie słusznym optymizmem, otwiera przed narodem niemieckim nowe perspektywy. Lecz nie mówi ni o genezie dnia dzisiejszego, nie o podstawie jutra.

Z mroków nocy hitlerowskiej wyłonili się przywódcy robotników: Peter Struve i jego dzielny towarzysz — Ernst Webers. Film nie mówi nie, jak tę noc przetrwali, czemu zawiązują świadomość swych obowiązków, niezachwianą pewnością linii swego postępowania. To ze słów pogrobowca kapitalizmu, starego Webersa, dowiadujemy się, że są socjalistami. Film ten zbyt często sugeruje przeświadczenie, iż jedynym bodźcem ludzkich czynów jest pragnienie chleba, biologiczny, egoistyczny pęd zaspokajania głodu. Kto wywalczył warunki, dzięki którym setki ludzi takich jak Struve, jak Ernst Webers mogą w Niemczech budować socjalizm? Kto nieustannie pomaga im w tym dziele? Film przemilcza to wszystko.

*

Szeregując omawiane filmy, najwyższej trzeba ocenić dzieło Kurta Maetziga „Rada

bogów”. Film ten nie poprzestaje na analizie przeszłości, na demaskowaniu prawdziwych sprawców wojny i jej zbrodni. Idzie dalej. Wzywa do walki z odrastającą hydrą kapitalizmu, wskazuje sposoby walki. Już nie problem jednostek, nie przemiany w obrębie jednostkowej świadomości, ale wola mas, zdecydowane wystąpienie niemieckiej klasy robotniczej jest jedyną drogą, na której walka z faszysmem przyniesie zwycięstwo.

Inżynier Scholz, wynalazca „Cyklonu” w filmie Maetziga, gdy dowiaduje się, do jakich celów przeznaczyla jego wynalazek „Rada bogów” (tak nazywają siebie władcy „I.G. Farben”), nie ma odwagi zaprotestować. Przez swój oportunizm staje się współwinnym zbrodni wymordowania gazem wynalezionym przez siebie milionów ludzi. Gdy zrozumie swą winę, gdy na procesie „I.G. Farben” zdemaskuje zbrodniarza — zrywa z biernością i staje do czynnej walki. Ale w walce tej nie jest osamotniony. Walczy w szeregu setek tysięcy innych Niemców, w szeregu milionowej armii pokoju.

W końcowej scenie filmu obraz manifestacji robotników protestujących przeciwko próbom odnowienia wojennej produkcji „I.G. Farben” przechodzi w inny obraz — wielkiej pokojowej manifestacji młodzieży. Nowe, młode Niemcy maszerują w pokojowej przyszłości.

Polityczna wymowa filmu Maetziga jest wyraźna, jasna. Jego siła mobilizująca tkwi

zarówno w wielkiej dynamice scen końcowych, jak w sugestywnych obrazach wiążących znowu przemysłowców niemieckich z narodzinami hitleryzmu.

Dramatyczne napięcie wzrasta w filmie z każdą sceną, osiąga wstrząsającą wymowę w pełnych grozy fragmentach odwołujących norymberski proces „bogów” z „I.G. Farben”, lecz nie słabnie i później, aż po ostatnią scenę.

Uderzająca jest aktualność filmu Maetziga dziś, gdy władze amerykańskie uwalniają z więzienia zbrodniarzy hitlerowskich, gdy między innymi wypuściły na wolność Fritza Ter-Meera, jednego z dyrektorów I.G. Farben, który osobiście zorganizował produkcję gazu „Cyklon B”.

Wielkie znaczenie polityczne takich filmów „Defy”, jak „Rada bogów”, polega na demaskowaniu głównych winowajców wojny, stojących poza i ponad Hitlerem: kapitalizmu niemieckiego, związanego z kapitalizmem międzynarodowym; polega na mobilizującym masę niemiecką dla sprawy pokoju ukazaniu skutków bierności wobec zbrodniczej polityki kapitalistycznych podpalaczy świata.

*

Film „Rada bogów”, demaskując ściśle związki niemieckiego koncernu z wielkim kapitałem amerykańskim, rozszerza oskarżenie o zbrodnię wojenną na kapitalistów amerykańskich. Wydarzenia obecne dowodzą całkowitej słuszności tego oskarżenia.

Natomiast jako dokument, jako akt oskarżenia „Rada bogów” ma pewne luki. Reżyser pokazuje w celnym skrócie filmowym skutki zbrodniczej polityki imperializmu: oddawania miecza w ręce szalonego. Widzimy długie szeregi łuf armatnich, potok czołgów, eskadry samolotów — cały wielki potencjał wojenny Trzeciej Rzeszy postawiony do dyspozycji Hitlera. Widzimy dalej bomby spadające z samolotów, działa buchające wystrzałami, eksplozje burzące domy, pługi niszczące tory kolejowe. Lecz nie widzimy ani ofiar ani żołnierzy. A to przecież jacyś Niemcy strzelali z dział i kierowali czołgami, jacyś Niemcy pilotowali ciężkie i bomb samoloty. Postuszni rozkazowi, wierzący w moralność Hitlera, w słuszność własnych zbrodni młodzi Niemcy. Wojnę pokazuje nam film od strony masy, od strony materialnych zniszczeń, nie od strony człowieka, od strony spustoszeń dokonanych wewnątrz jednostki. A te należały wszak do najważniejszych skutków polityki kierowanej przez kapitalistyczną „radę bogów”.

Przez krótką, przejmującą chwilę śledzimy wraz z uczestnikami norymberskiego procesu zbrodniarza z „I.G. Farben” film o skutkach stosowania cyklonu w komorach Oświęcimia, lecz nie nie wiemy o ludziach, którzy do komór wpuszczali ten gaz. Znow obraz skutków zbrodni nie obejmuje jej bezpośrednich wykonawców.

Filmy Niemieckiej Republiki Demokratycznej zasługują na naszą szczególną uwagę. Są bowiem odbiciem wielkich procesów przebiegających w Niemczech, procesów przebudowy psychiki niemieckiej. Są odbiciem walki ideologicznej rozgrywającej się w świadomości narodu niemieckiego. A przecież twórcy przelotu, którego świadkami jesteśmy w Niemieckiej Republice Demokratycznej, odradza w Niemczech człowieka.

Stanisław Grzelecki

mała kronika



złuka burżuazyjna straciła już dawno swój liberalny charakter. Dawno już przestała mówić nawet cząstkę prawdy o społeczeństwie kapitalizmu. W zapomnieniu poszła odwaga Swifta i Defoe. Bepowrotnie minęły czasy, gdy Dickens zwałczal pracę dzieci i burzał się na więzienia za długi; gdy Balzac obnażał moralność francuskiego mieszczaństwa, gdy Zola rzucił w twarz burżuazji przepożony goryczą i nienawiścią namiętne „Oskarżam!”.

W epocze szalejącego imperializmu sztuka burżuazyjna stała się psem łańcuchowym wynarodowionej, obcej życiu własnego społeczeństwa, klasy wyzyskiwaczy. Kapitalizm uczynił z artysty najemnego żołdaka, sprostyłował najpiękniejsze wytwory ducha ludzkiego, z nieszczęścia uczynił pośmiewisko, z godności — pokupny towar, z miłości — jarmarczny cyrk. Jeszcze w mękach umierają dzieci w Hiroszimie i Nagasaki od porażek bomby atomowej, a już dzieci amerykańskie zjadają się tortami w kształcie grzyba naśladowującego eksplozję atomówki. Cynizm, na jaki nie zdobył się nawet Goebbels. On nie gazował, tylko „deportował” — ludzi, i nie podawał do stołu tortów w kształcie komory gazowej.

Ten proces deprawowania człowieka w świecie imperializmu towarzyszy mu od kolebki po grób. Nie Szekspir, nie Milton, nie klasycy wielkiego realizmu mieszczańskiego są wychowawcami młodzieży w krajach kapitalistycznych, lecz ohydne, bzdurne, zbrodnicze historyjki obrazkowe. Głorzyfikuje się w nich rasizm i podbój, wzbudza się pogardę dla innych narodów, podnieca się pychę nacjonalistyczną, szerzy się mit o amerykańskim nadczłowieku, rozłamuje się w młodzieży najniższe instynkty. Dziennikarz amerykański Peg Conner podaje, że tygodniowo 60 milionów ludzi czyta te bzdury. To groźne; ale groźniejsze, że trzydzieści milionów Amerykanów nie czyta nie innego.

Oglupiając własny naród, fałszując historię i myśl ludzką, szerząc niedorzeczne mity rasistowskie — sztuka imperializmu odradza artystę od własnego narodu, wynaradawia go, niweczy go jako człowieka. Każę mu zatrwać ludzką nienawiścią do socjalizmu, postępu i kultury, budzić strach przed Związkiem Radzieckim, propagować tzw. amerykański styl życia. Ideologizmy imperializmu Burnham, Russel, Koestler i sfera innych — otwarcie głoszą konieczność misji dziejowej USA. Nie pokój jest ich celem, piszą oni, lecz zapewnienie Ameryce panowania nad światem. Dlatego mobilizuje się dzisiaj do walki ze Związkiem Radzieckim najgorsze szumowiny faszystowskie, zwoluje byłych gestapowców, banderowców, falangistów i degaullistów.

Sztuka imperializmu stanowi zagrożenie pokoju. Jest orężem agresji wojennej. Walka z nią, walka ze sztuką prowokacji i szantażu jest obowiązkiem każdego uczciwego artysty na całym świecie. Walczący z nią skutecznie można jedynie oparłszy się na doświadczeniach sztuki kraju zwycięskiego socjalizmu, na przykładzie rzemiełniczych i uczciwych pisarzy i artystów krajów kapitalistycznych.

Bo nie prowokatorzy i zdrajcy, nie szantażyści i mordery, nie zaślepieni i głusi są wyrażicielami sumień swoich narodów. Nie posiadacze milionowych gazet, nie wydawcy pornografii, nie producenci głupoty ludzkiej i nienawiści są mózgiem i sercem swego narodu. Może dzisiaj zdrajca opływał w zaszczyty, może prowokator obwieszał się złotymi łańcuchami doktoratów honorowych, może ludożerca wychowywał młodzież, ale jutro szczenią ich imiona z kart historii i zapomną o nich ludzie. Nie zawładną oni sumieniami narodów. Sercem narodu amerykańskiego nie jest faszysta Burnham. Sercem narodu amerykańskiego jest wspólny pisarz Howard Fast uwięziony przez imperialistów; jest nim Albert Maltz zamknięty w więzieniu. Mózgiem i sumieniem narodu są przywódcy amerykańskiej partii komunistycznej zakuci w kajdany przez przekupne sądy.

Do Was, przyjaciele i towarzysze naszej walki o pokój i szczęście ludzkości, kierujemy dziś nasze myśli i uczucia. Wy jesteście sumieniem, sercem i mózgiem swego narodu. I choćby Wasze książki były palone na stosach, choćby obłąkany rasista chciał zamknąć usta Paulowi Robesonowi, głos Wasz i śpiew Wasz będzie rozbrzmiewał na całym świecie.

Piękna opowieść głosi, że Murzyni z dalekich zakątków Afryki karbowali na kijach swoje znaki, oddając w ten sposób swój głos za pokój. Nie umiejąc wyrazić swych uczuć słowem piśmianym, rzeźbili je w żywym drzewie. My — mamy potężną broń w ręku, słowo artysty, pisarza, poety. Kto ośmielił się zamknąć nam usta mówiące o pokoju? Zamurowany w więzieniu Nazim Hikmet budził ludzką do walki o pokój. Kto potrafi związać nam dłoń pisząc o pokoju? Uwięziony Howard Fast nie przestał głosić prawdy o imperialistach. Kto odważył się zagłuszyć sumienie ludzkości, zatrzymać serca wszystkich ludzi dobrej woli? Szofer wietnamski Wang Fu cały tydzień czował się przez dzungle swej ojczyzny, pięć tygodni przedzierał się do Europy, aby na zlocie młodzieży demokratycznej opowiedzieć o walce w Vietnamie z francuskimi kolonizatorami i przesłać pozdrowienie robotnikom francuskim.

Przyjaciele i towarzysze naszej walki o pokój! Wy, zamknięci w celach więziennych i obozach koncentracyjnych! Wy, walczący o pokój przeciw szantażom i torturom, zbrodniom i morderstwom! Jeszcze trwa potworny, nieludzki wrzask propagandy i sztuki imperialistycznej, jeszcze żołdacy kapitalizmu szerzą kłamstwo i fałsz. Ale czujne serce ludzkości, Wasze i nasze serce, przyjaciele, coraz głośniejsze bije w obronę pokoju. Ale sumienie ludzkości, Wasze i nasze sumienie, przyjaciele, coraz natarczywiej domaga się pokoju. Ale ręce ludzkości coraz wyżej wznoszą nad światem sztandar pokoju. Aż pokój i szczęście staną się udziałem wszystkich ludzi, aż uchronią życie narodów, aż zabezpieczą kulturę i cywilizację ludzką, zapewnią spokojny dzień naszym dzieciom, przyniosą słoneczne, piękne jutro przyszłemu pokoleniu.

Tadeusz Borowski.



Rys. William Gropper

Bulba-liberałem

To nie żart. Na obradujący niedawno w Stuttgarcie kongres „europejskich stronictw liberalnych” przybył we własnej osobie „ataman Bulba”, głośny pod koniec wojny organizator straszliwych rzezi ludności polskiej za Bugiem, utrzymywany i uzbierany przez Gestapo, zdrajca narodu ukraińskiego, obecnie spokojnie przebywający pod amerykańską opieką w zachodnich Niemczech. Jako „liberał”, nie gorszy od innych „libera-



łów” obmyślających w Stuttgarcie plany wojenne — Bulba zgłosił pełną gotowość współpracy z europejskim obozem „liberalnym”, komunikując, że w memoriale wysłanym już do Rady Bezpieczeństwa (!) zaproponował utworzenie pod swoim dowództwem złożonego z ukraińskich faszystów (liberałów?) korpusu, na razie do walk na Korei. Dał przy tym do zrozumienia, że część tego „wojska” jest już skolponowana w amerykańskiej strefie okupacyjnej.

Polskim wyznawcą zachodniego „liberalizmu” napewno pochwleli fakt, że znajdując się w jednej kompanii z Bulbą. Przyswiecają im przecież te same ideały. No, i najważniejsze: patron jest ten sam.

pho

Pax Romano-Americana

Biały mikado Mac Arthur jest nerwowy. Nie uzgodniwszy tekstu z Trumanem ani z Achesonem, wysłał do kraju orędzie ujawniające z całą szerokością agresywne zamiary USA w stosunku do chińskiej wyspy Tajwan (Formozy). Prezydent kazał „orędzie” wycofać, żeby — jak cynicznie przyznała prasa amerykańska — nie dać zwolennikom pokoju na całym świecie argumentu, iż Stany Zjednoczone prowadzą agresywną, zaborczą politykę. Tylko o to chodziło. Intencje Trumanu i Mac Arthura są identyczne, ale po co je z żołdacką fanfaronadą odśpiewać i utrudniać w ten sposób robotę!

No cóż, nie wszyscy znają się na dyplomacji. Nie tylko tępi żołdacy w rodzaju Mac Arthura. Papiescy szambelani też nie zawsze umieją trzymać język za zębami. Bo oto jeszcze przed kompromitującym orędziem tokijskiego gauleitera — minister marynarki, Matthews, pałał w Bostonie „nieuzgodnioną” mowę, w której zaproponował ni mniej ni więcej, tylko niezwłoczne rozpoczęcie wojny na całego i rzucenie bomby atomowej. Gadatliwego ministra „zdezawuowano”, od słów jego się „odgrodzono” — z tą samą motywacją: nie dawajmy argumentów obrońcom pokoju, i tak już cały świat uważa nas za agresorów!

Ale nie najmniej ciekawe w całym incydencie jest może to, że p. Matthews reprezentuje w protestanckim, sekciarskim rządzie USA koła katolickie (że wielkoprzemysłowe również, to się samo przez się rozumie). W roku 1944 Pius XII mianował go szambelanem papieskim; widocznie należy do najbardziej zasłużonych i jako taki zarekomendowany został w Watykanie przez kardynała Spellmana, arcybiskupa Nowego Jorku i ostawionego podlegacza wojennego.

Nie wdając się w scholastyczne rozważania, kto tu jest mocodawcą, a kto mandatarium, czy minister Matthews jest kreaturą Spellmana w rządzie USA, czy też Monsiognore Spellman pełnomocnikiem Matthews w amerykańskiej hierarchii rzymsko-katolickiej i w samym Watykanie, co przecież na jedno wychodzi — notujemy to, w gruncie rzeczy nieskomplikowane, zjawisko jako jeszcze jeden dowód, już nie współdziałania, ale bezpośredniego zrośnięcia się watykańskiego aparatu politycznego z rządowym, finansowo-przemysłowym i wojskowym aparatem imperializmu USA.

Ta duchowo-świecka spółka podlegaczy wojennych powinna się nazywać: Pax Romano-Americana. Dosłownie. W Amsterdamie obradował ostatnio kongres międzynarodowej organizacji katolickiej „Pax Romana” z udziałem przedstawicieli 27 państw. Jedną z uchwał kongresowych wzywa „inteligencja katolicka” całego świata do „poparcia akcji ONZ! na Korei”, nawet gdyby to „pociągnęło za sobą największe ofiary”. an

Kisiel i Camus

Kisiel wybierając się na urlop nie omieszkał jak zwykle poinformować czytelników „Tygodnika Powszechnego” o swych prywatnych sprawach i subiektywnych przeżyciach. „Jako człowiek dokładnie, ze wszystkimi najważniejszymi szczegółami, zginął — powiada — nie omieszkałem wziąć ze sobą nieco odpowiedniej literatury: Camusa, Sartre’a, Greene’a”.

W „La peste” Camusa znalazł pewną myśl, która wydała mu się „wspaniała, oślepiająco prosta, jak wszystkie genialne pomysły”. Przeczytajmy więc i my owo

Komentarze

zdanie: „Pytanie: jak postąpić, żeby nie stracić czasu? Odpowiedź: przeżywać czas w całej jego długości. Sposoby: spędzać dni w poczekalni dentysty na niewygodnym krześle; siedzieć na balkonie całe niedzielne popołudnie; słuchać odczytów w nieznanym sobie języku; wybierać sobie podróże koleją jak najdłuższe i jak najmniej wygodne, podróżować oczywiście stojąc; stać przed kinem w długiej kolejce i doszedzszy do kasy nie kupować biletu;” etc.

Genialne, prawda? Kisiel wie jednak dobrze, po co karmi swych czytelników takimi właśnie „czysto” psychologicznymi odkryciami, które bynajmniej nie są takie „czyste”. Cytowane przez Kisiele „bezpартyjne” zdanko głęboko tkwi bowiem w całokształcie poglądów filozoficznych Camusa. Już w wydanym w 1942 r. „Micie o Szyfrycie” Camus zaprzeczył obiektywnej hierarchii czynów ludzkich i zrelatywizował ją. „Za coś, co ma dla człowieka znaczenie — pisał — przyjęto uważać zdarzenia historyczne, wielkie czyny, miłość”. Camus natomiast uważa, że „zdarzenia historyczne nie mają absolutnie żadnego znaczenia dla poszczególnego człowieka, gdyż stokród ważniejsza jest dla niego własna maniera mówienia przez nos, jego przyzwyczajenie do głośnienia kotów pod sierść, pogwizdywanie w wannie, spanie na brzuchu. Małżeństwo uważane jest na ogół za fakt wyjątkowej doniosłości, lecz przecież ludzie mają prawo — stwierdza Camus — aby uważać swoje przyzwyczajenie do otwierania drzwi naciskając klamkę w prawo, a nie w lewo — za nieporównanie ważniejsze”.



W ten sposób nawiązując do tezy Valéry’ego, który poucał, iż „wielkie zdarzenia są takimi tylko dla umysłów płytkich” — Camus odsonił antyspołeczny i antymoralną istotę swej dekadentycznej filozofii.

To wszystko. I dość znamienne jest, że „Tygodnik Powszechny”, tak zaciekale walczący zazwyczaj o „zdrowie moralne narodu” i opiewający radość tkwiącą w reli-

gii — w swej ostatniej, felietonowej rubryce propaguje poglądy pesymistycznego katastrofisty i „wroga religii”. gbl.

Więcej ruchu w „Ruchu”!

W lubelskim „Sztandarze Ludu” (nr 228 z 20.VIII) znaleźliśmy następującą notatkę:

„Tygodnik społeczno-literacki „Nowa Kultura” ma w Zamościu wielu czytelników, lecz niestety nie wszyscy mogą to pismo czytać, ponieważ „Ruch” spro-



wadza do Zamościa za mało egzemplarzy. W każdą sobotę od kiosku do kiosku biegną grupy młodzieży szukając „Nowej Kultury”, lecz wszędzie słyszą tę samą odpowiedź:

— Rozdzielnia przysyła nam kilka egzemplarzy, które trzymamy dla stałych odbiorców.

Oczekujemy, że Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu „Ruch” w Zamościu lepiej zaopatrzy kioski w tak bardzo poszukiwane czasopismo, jakim jest „Nowa Kultura”.

Takie same skargi otrzymujemy bezpośrednio od naszych czytelników z różnych stron. „Ruch” przysyła za mało — albo nie przysyła wcale. Latem, w miejscowościach uzdrowiskowych i wczasowych wielu naszych przyjaciół całymi tygodniami nie mogli w punktach sprzedaży zdobyć egzemplarza „Nowej Kultury”.

Nie pisaliśmy o tym — wstrzymywała nas wrodzona skromność. Towarzysze z „Ruchu” — rozmawialiśmy — mają i tak urwanie głowy. Ale kiedy już ujął się za naszymi pokrzywdzonymi czytelnikami „Sztandar Ludu”, dołączamy swoją pokorną prośbę: pomysłcie o tych, którzy chcą stale czytać pismo literackie i mają do tego prawo!

pho

Stolik montażysty filmowego

„I OPOCZAŁ BÓG W DZIEŃ SIÓDMY”

Sierżant Brikes — weteran drugiej wojny światowej — siedzi któregoś wieczoru, jak co dzień, przed aparatem radiowym. Dochodzi godzina 8.30 wieczorem. Sierżant słucha „Boogie-woogie” i czyta (może z pewnym niesmakiem) wiadomości o interwencji swego kraju na Korei.

Nagle z aparatu radiowego daje się słyszeć chrobot... a potem bije poważnie pół do dziewiętej. O tej porze nie ma sygnału czasu. Zaskoczony sierżant nastawia uszu. Słyszysz wyraźnie:

„Halo, Halo, tu radiostacja niebiańska. Przed aparatem nadawczym Bóg. Przemawiam do was w tej ciężkiej dla ziemi godzinie, aby połączyć wszystkie narody, aby usunąć różnice polityczne i zadróżnienia. Niebawem już przyjdzie królestwo moje... jeden pasterz i jedna owczarnia...”

Sierżant Brikes sądzi, że zwirował (od ruch świadczący o zdrowym rozsądku). Biegnie po swoją żonę, ale gdy wraca do aparatu — głos zamilkł.

Następnego dnia w biurze sądzi, że opowie dobry kawał. Ale okazuje się, że wszyscy słyszeli głos Boga. Nie tylko w Ameryce! Tytuły pism w prasie donoszą o niebywałej sensacji. Bóg po raz pierwszy od 1927 lat (czyli od śmierci Jezusa) przemówił wprost do ziemian. Gazety piszą: „Głos Boga słyszany był we wszystkich językach, na wszystkich krańcach ziemi, w uprzemysłowionych okręgach Stanów Zjednoczonych, w zakładach Bomby Atomowej, nad Renem, na polskich równinach i w sowieckich kołchozach...”

Bóg miał tyle przytomności umysłu, że pod koniec komunikatu zapowiedział: „słuchajcie mnie jutro o tej samej porze. Bóg przemawia do was. Mówię wam wiadomości dobre i złe, ale możecie mi wierzyć: najprawdziwszą”.

W całych Stanach Zjednoczonych „i na całym świecie” — dodają gazety — wre. Punktualnie o godzinie ósmej trzydzieści co wiekzór rozlega się w głośnikach całego świata głos Boga.

Głos Boga w szczególny sposób przypomina opinie polityczne sekretarza stanu Ache-

sona, ale nikt na świecie nie zwraca na to uwagi. Sam Bóg przemówił. Chyba Bóg wie, czego chce?

W niedzielę znowu wszyscy siedzą przy aparatach radiowych: w zakładach bomby atomowej... nad Renem... i (z leżką w oku) w kołchozach...

Ale radio milczy. Na próżno nastawia strzałkę na te czy inne fale zaniepokojony sierżant Brikes i dwa miliardy opuszczonych owieczek.

Bóg nie odzywa się. Po chwili przerażenia wszyscy rozumieją:

„I dokonał Bóg w dzień siódmy dzieła swego, które uczynił: i opoczał w dzień siódmy od wszelkiego dzieła, które sprawił” — czyta swej żonie z drugiego rozdzielu księgi genezy wzruszony sierżant Brikes, komentując: „skoro Bóg w 6 dni świat stworzył, może go też w sześć dni zbawić”.

Chyba w tym momencie znak zapytania będzie najwłaściwszy. Nie, piszący te słowa nie zwirował i nie przesyła felietonu z zakładu dla obłąkanych. Jest to po prostu treść najnowszego amerykańskiego filmu „THE NEXT VOICE YOU HEAR” („Następny głos, jaki usłyszycie”) produkcji Metro-Goldwyn-Mayer’.

Na szczęście publiczność amerykańska poznała się na gigantycznej wartości filmu, który w wielu miastach został wygwizdany, a w Nowym Jorku (gdzie filmy chodzą miesiącami) zszedł z ekranu po trzech tygodniach. Tym razem propaganda „demokracji kapitalistycznej” była szyta zbyt grubymi nićmi.

Czy tak? — Okazuje się, że nie dla każdego.

W czasie gdy film „The next voice you hear” był wyświetlany w „Radio City Music Hall” w Nowym Jorku, kardynał Nowego Jorku, Spellman, wręczył w imieniu papieża Piusa XII przedstawicielom Hollywood najwyższy katolicki order św. Grzegorza za „umoralniający wpływ filmów hollywoodzkich”.

Wiadomość o tym drukuje najnowszy numer „Motion Picture Herald”.

Puk.

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 16, IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12..

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch” Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12. tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—; kwartalnie zł 300—; półrocznie zł 600—; rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: zł 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.